Cena 7 zł



TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice — Wrocław, 12 maja 1946 r. | Nr. 13 (24)

Eryk Skowron

Odra — rzeka przeznaczenia

Wśród niezliczonych zagadnień, mających zasadnicze i decydujące znaczenie dla przyszłości narodu polskiego, których należyte rozwiązanie nastąpić musi teraz, w momencie budowania fundamentów pokoju świata, na czoło wysuwa się sprawa rzeki Odry.

Przyjaźń od wschodu — bezpieczeństwo od zachodu

Przeważnie podchodzi się do zagadnienia Odry od strony transportu i żeglugi. Doceniając wartość Odry od tej strony, musimy jednak stwierdzić, że nie w tym leży sedno jej znaczenia dla Polski.

Jest sprawą bezsporną, że zarzewiem wszelkich niepokojów europejskich były Niemcy i one stanowią nadal jedyne niebezpieczeństwo w Europie. Pobicie Niemiec w tej wojnie nie miałoby sensu, a ogromne ofiary jakie cały świat poniósł dla tego celu byłyby daremne, gdyby przy stawianiu gmachu pokoju nie uwzględniono spiżowej zasady trwałości porządku, ustanawianego przez zwycięzców. Jest nią prosta prawda, że aby przeciwnik przestał być niebezpieczny, trzeba go osłabić, a europejskie narody pokój miłujące wzmocnić. Tej zasady nie dopilnowano konsekwentnie na kongresie wersalskim i drogo za to zapłacono.

Wszystkie ofiary agresji hitlerowskiej mają prawo żądać takiego osłabienia Niemiec i takiego wzmocnienia swoich granic, by mogły się wreszcie czuć bezpiecznie.

Polska, najbrutalniej niszczona w tej wojnie przez Niemców, ma tym bardziej prawo zabezpieczenia się na przyszłość przed odwiecznym jej wrogiem przez odebranie Niemcom swoich prastarych terenów. Kręgosłupem tych ziem jest stara polska rzeka Odra, nad którą do dziś dnia mieszka lud z krwi i języka polski. Prawo to jest tym silniejsze, że Polska w dowód swoich szczerych chęci stworzenia trwałej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim dobrowolnie odstąpiła mu ziemie na wschodzie. To dobrowolne, celowe i konieczne truncatio membrorum byłoby całkowicie pozbawione sensu politycznego i żaden Polak nie mógłby go wziąć na swe sumienie, gdyby w ścisłej zależności od tego nie nastąpiła korektura naszych granic na zachodzie. Jeśli naród polski faktami dokumentuje wolę przyjaznego współżycia ze swoim potężnym sąsiadem wschodnim, to ma prawo żądać bezpieczeństwa przed wrogiem na zachodzie.

Wydaje nam się, że ziemie zachodnie bez pełnej suwerenności polskiej na Odrze tego bezpieczeństwa nie gwarantują. Argument, że obecnie rzeki nie stanowią więcej granic naturalnych, nie wytrzymuje krytyki, gdyż chyba nikt nie ośmieli się twierdzić, że Odra w niepolskich rękach gwarantuje Polsce lepsze warunki bezpieczeństwa albo, że otwarte pole jest lepszą granicą niż rzeka.

Obecny stan rzeczy na Odrze, który w dalszej części artykułu przedstawimy, nie przysparza korzyści.

Posiadanie Odry koniecznością gospodarczą Polski

Gdy po pierwszej wojnie światowej Polska odzyskała część Śląska, okazało się rzeczą konieczną, celem ułatwienia zbytu węgla górnośląskiego, wybudowanie kanału węglowego, łączącego Zagłębie Węglowe z Dolną Wisłą z odgałęzieniami do Warszawy.

Potrzebie tej dała wyraz ustawa Sejmu Ustawodawczego z 9. VIII. 1919. Kanał zaczynający się w środku Zagłębia miał przechodzić tuż koło Chorzowa, Katowic, Sosnowca w kierunku na Częstochowę, Pabianice, Łódź i dochodzić do Wisły pod Bydgoszczą. Jak wiele innych projektów owych czasów i ten nie doczekał się realizacji.

Z tej samej potrzeby powstała jednak magistrala węglowa kolejowa Katowice — Herby — Zduńska Wola — Bydgoszcz — Gdynia, która w 1938 przewiozła 11.931 milionów ton węgla i koksu.

Obecnie przybył Polsce ogromny przemysł węglowy i hutniczy Śląska Opolskiego, co potęguje ówczesne potrzeby komunikacyjne.

Pod naporem tych samych kategorycznych konieczności transportowych na Śląsku Opolskim Niemcy zbudowali kanał, prowadzący z Gliwic do pobliskiej Odry. Kanał ten — jak zobaczymy — rozwiązuje całkowicie przez udostępnienie Odry ów problem, który dwadzieścia pięć lat temu został postawiony i nierozwiązany, ze względu na wielki koszt takiej imprezy i brak dostatecznego kapitału w Polsce.

W 1939 obrót towarowy w opolskim porcie na Odrze w Koźlu wynosił 3.822.000 ton. W czasie wojny, kiedy cały obszar przemysłowy dzisiejszego województwa śląskiego znajdował się w rękach niemieckich, tak jak obecnie polskich, załadowano przeciętnie rocznie w portach kozielskim i gliwickim ponad siedem milionów ton towarów, w czym ponad 80% węgla.

Ogólny obrót towarowy ilustruje nam następujące zestawienie:

Rok 1932 —	5,7	milionów ton
„ 1934 —	9,1	„ „
„ 1936 —	10,6	„ „
„ 1938 —	11,3	„ „
„ 1939 —	10,9	„ „
„ 1942 —	15,7	„ „

Cały ten ruch towarowy na Odrze według statystyki i oświadczeń niemieckich czerpał z Śląska i prawego brzegu Odry. Ruch odwrotny, t. zn. ruch towarowy z terenów lewobrzeżnych na prawobrzeżne wynosił zaledwie 1/6 całego obrotu towarowego na Odrze, z tego Śląsk w towarach pochodzenia zachodniego partycypował w 1/60. Zato 95% przewożonego Odrą węgla było pochodzenia śląskiego.

Tych kilka cyfr wymownie ilustruje fakt, że Odra stanowi naturalną arterię odpływową produkcji śląskiej i jest jakby specjalnie dla Śląska stworzoną rzeką. Fakt zaś braku lewych dopływów na Odrze — a wszystkie prawe znajdują się na obszarze obecnego państwa polskiego — sprawia, że cały ciężar ciążenia gospodarczego ku Odrze znajduje się na terenie polskim. Obszar lewobrzeżny Odry nie posiada specjalnej inklinacji ku Odrze, chociaż by dlatego, że przedstawia on obszar produkcji rolnej, posiadającej w metropolii berlińskiej chłonny rynek zbytu. Istniejące tam możliwości transportowe rzeczne i kolejowe są w stanie podołać bez reszty wynikającym stąd potrzebom transportowym.

Istnieje natomiast państwo, posiadające żywotne interesy na Odrze, szczególne dla jego wschodnich obszarów przemysłowych, państwo, acz gospodarczo na najwyższym europejskim poziomie, pozbawione wszelakiego dostępu do morza. Państwo to zamieszkuje pobratymczy naród słowiański — Czesi. Uwzględnienie przez Polskę czeskich interesów na Odrze w ramach porozumienia polsko-czeskiego mogłoby stanowić realną platformę zbliżenia obu narodów, tak ze wszechmiar w obopólnym interesie pożądanego.

Warunki żeglowne na Odrze

Odra jest rzeką całkowicie uregulowaną. Żeglowną jest na przestrzeni 717 km od Koźla do ujścia. Celem wyrównania dużych wahań między objętością dużej i niskiej wody wybudowano kilka zbiorników, dostarczających wodę w okresie letniej posuchy: w Odmuchowie o powierzchni 20 km kw. i pojemności 143 milionów m³ wody, w Turawie na Małej Panwi o pojemności 90 milionów m³, w Marklisie o pojemności 15 milionów m³.

Przez 241 dni w roku mogą Odrą płynąć barki o pełnym zanurzeniu, t. zn. o zanurzeniu 1,60 m. W porównaniu z nią Wisła dopuszcza maksymalne zanurzenie do 1 m. Tak korzystne warunki żeglowne nadano Odrze przez zwężenie naturalnego koryta na przestrzeni między Wrocławiem a Szczecinem, oraz przez skanalizowanie rzeki od Wrocławia do Koźla, połączonego z Gliwicami wzmiankowanym kanałem, dopuszczającym także zanurzenie do 1,60 m., długim 40 km.

Między Koźlem a Wrocławiem wybudowano 22 śluzy. Śluzy te wymagają dla ich obsługi fachowców.

W tej chwili też żegludze na Odrze stoją na przeszkodzie pozrywane mosty, zatopione barki i statki (obliczane na 500 sztuk) i szereg innych powojennych objawów.

Uzbrojenie Odry

Obok tych stosunkowo -bardzo dogodnych warunków żeglownych, Odra posiada porty i urządzenia przeładunkowe nie ustępujące miejsca urządzeniom regulacyjnym.

Inwentarz ten przedstawia się następująco:

Gliwice — nowoczesny port z trzema basenami o głębokości 2.80—3.50 m; 8 dźwigów o nośności od 1—30 ton.

Koźle — 3 baseny, rozmaite magazyny, składy zbożowe i węglowe; 15 dźwigów o nośności 4—10 ton; 12 wywrotek wagonowych i 6 pochylni.

Opole — 1 basen o głębokości 1.90—3.40 m, magazyny, silos zbożowy 3 dźwigi o nośności od 1.50—5 ton; 2 wywrotki wagonowe i 5 pochylni.

Wrocław — posiada kilka portów, jak Poepelwitz, Oswitz, port celny i pomniejsze; 41 dźwigów o nośności od 1—30 ton; składy węgla bunkrowego, magazyny, silosy, warsztaty reparacyjne, stocznie itp.

Małoszyn — 2 baseny z urządzeniami do przeładunku w postaci 3 dźwigów o noś-

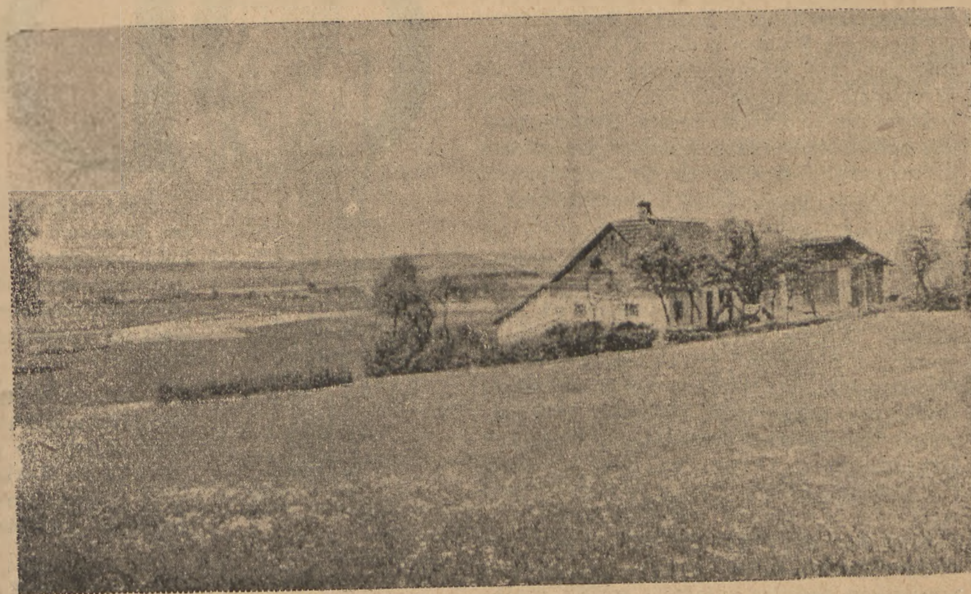
Perspektywa Odry

Tydzień Ziem Odzyskanych, zorganizowany przez Polski Związek Zachodni od 2 do 9 maja, był owym siedmiodniowym świętem, które należało postawić najwyżej w hierarchii naszych świąt i uroczystości. Urządzony w okresie, w którym nawarstwiło się wiele manifestacyj, nie skupił na sobie tej uwagi całego społeczeństwa, która mu się należała. W wielu miejscowościach, szczególnie w środku kraju, manifestacje partyjno - polityczne przysłoniły prawdę o wspaniałym naszym powrocie na Ziemie Odzyskane. Wydaje się nawet, że tu i ówdzie zaczęto podchodzić do sprawy Ziem Odzyskanych jako do sprawy drugorzędnej.

Te i owe niedomagania myśli polskiej, na które zwracaliśmy parę miesięcy temu uwagę w artykule wstępnym „Jeszcze niewyzwolone", wzmagają się i urastają do niebezpiecznego problemu i precedensu. Tu na Zachodzie odczuwamy to szczególnie boleśnie, czując się nieraz osamotnieni na wielu płaszczyznach naraz i przekonując się z trwogą, jak szybko opada entuzjazm.

Dobrze się stało, że pomyślano w okresie Tygodnia Ziem Odzyskanych o Funduszu Społecznym dla tych Ziem, mającym na celu rozwinięcie tam akcji oświatowo-kulturalnej i wydawniczej w zakresie prac naukowo-popularyzacyjnych o Ziemiach Odzyskanych dla kraju i zagranicy. Ileż nawoływaliśmy się o to, próbowaliśmy rozruszać opinię, zmusić do wypowiedzenia się pisarzy, publicystów, pracowników oświatowych, polityków. Wszystkie te wysiłki były daremne. Mamy wrażenie, że trzeba będzie zrobić coś w tym zakresie bez dyskusji publicznej, bo jak się okazało, wyzwani przez nas przedstawiciele kultury ani do niej nie dojrzeli ani nie byli przygotowani. Zaiste, niewyzwolone to jeszcze ziemie w psychice polskiej. Sądzimy, że kiedy tylko znajdą się pieniądze — a Fundusz Społeczny dla Ziem Odzyskanych powinien je po przeprowadzonej zbiórce posiadać — uda się zrealizować pełny plan kulturalny dla Ziem Odzyskanych.

Tydzień Ziem Odzyskanych był imprezą o ogromnym znaczeniu, przy czym uważamy, że najcenniejszym był tu aspekt polityczny, dostrzeżony z pewnością zagranicą.



W tym krajobrazie leżą źródła Odry.

ności od 2—4 ton i wywrotki wagonowe; 3 stocznie.

Stynów — 4 baseny bez urządzeń przeładunkowych i połączeń kolejowych.

Głogów — 1 basen; 4 dźwigi.

Nowa Sól — 2 baseny; 5 dźwigów o nośności od 1—6,5 ton.

Przybrzeg — 4 porty; 7 dźwigów, składy i magazyny.

Słubice — 2 porty z 4 dźwigami od 1.5—5 ton nośności.

Świeć i Gryfin — po jednym dźwigu.

Szczecin — największy port u ujścia Odry miał obrotu towarowego rocznie — 4.000.000; kilka portów i sztuczne baseny; 148 dźwigów od 1,5—100 ton nośności; połączenia kolejowe, silosy, magazyny, wywrotki wagonowe.

Taki obraz przedstawiały porty odrzańskie w świetle statystyki z 1941 r. O obecnym stanie tych urządzeń trudno coś powiedzieć, gdyż z małymi wyjątkami Polska nie ma dostępu do tych portów.

Odrzański tabor i żegluga

Według danych znalezionych w tajnych dokumentach niemieckich na dzień 1. I. 43 na Odrze zarejestrowanych było 677 statków o własnym napędzie, o łącznej mocy 97.307 KM. Z tego przypadało na statki osobowe 72, statki osobowo-towarowe 16. statki towarowe 155, tankowce 8, holowniki 424, statki specjalne 2. Bez własnego napędu znajdowało się wtedy na Odrze 2.502 barek o łącznym tonażu 956.137 ton pojemności, w tym 7 tankowców o pojemności 3.835 ton.

Dnia 28 maja 1945 roku władze radzieckie przekazały władzom polskim 80 barek bez napędu, 3 barki z własnym napędem. Tabor ten znajdował się w stanie nie nadającym się do użytku, wymagał remontu i uzupełnienia motorów. Wobec braku fachowców i warsztatów remontowych, remont ten napotkał na poważne trudności.

Faktycznie więc rozporządza Polska dzisiaj około 24 barkami bez własnego napędu o przeciętnym tonażu 500 ton, 2 barkami o własnym napędzie i 6 holownikami.

Uzupełnienie tego taboru chociażby do poziomu naszych własnych potrzeb jest niełatwym zagadnieniem finansowym, jeśli zważymy, że jedna barka o pojemności 500 ton kosztowałaby obecnie 2 miliony złotych.

Organizacja administracji i żeglugi na Odrze

Administracja na Odrze została przekazana przez Ministerstwo Komunikacji Dyrekcji Dróg Wodnych. Jej zadaniem było-by oczyścić dno Odry z wraków, podnieść lub usunąć zatopione przęsła zniszczonych mostów, remont taboru i urządzeń portowych, stoczni itp. Działalność tej instytucji jest znikoma. Siedzibą jej jest Wrocław.

Sprawę eksploatacji żeglugi powierzono Komisarzowi Żeglugi na Odrze z siedzibą w Gliwicach. Obecnie organizuje się przedsiębiorstwo skomercjalizowane dla eksploatacji tej żeglugi, przy czym istnieją różne koncepcje takiej organizacji. Do tej spółki armatorskiej miałyby w każdym wypadku wejść przemysły i organizacje społeczno - gospodarcze, zainteresowane w przewozach na Odrze. Rzecz organizuje się opieszale.

Curiosum polskiej psychologii politycznej

Nie jest to nowość dla nikogo w świecie. — chyba tylko dla nas Polaków, — że posiadamy bardzo oryginalny stosunek do tego, co nazywa się polityką, a co nie jest niczym innym jak zespołem tych metod i środków, jakich używa się dla wywalczenia i obrony podstawowych praw życia i bezpieczeństwa narodowego.

Wszystkie narody na świecie w pierwszej mierze dążą do zabezpieczenia sobie najdogodniejszych warunków geopolitycznych i gospodarczych. O to kruszy w pierwszej mierze kopie ich dyplomacja, o tych sprawach myśli się nasamprzód.

My potrafimy walczyć o chimery, a nie potrafimy walczyć o realne podstawy naszej egzystencji.

Tylko takim schorzeniem polskiej psychologii politycznej można sobie wytłumaczyć brak dostatecznej uwagi i energii przy podchodzeniu do tak kapitalnego zagadnienia naszej przyszłości, jakim jest sprawa rzeki Odry.

Zaniedbania ubiegłego roku spowodowały już to smutne następstwo, że zaczyna się sezon żeglugowy na Odrze a polska żegluga na niej stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Byłby najwyższy czas poświęcić więcej uwagi i energii sprawom zasadniczego znaczenia dla naszego bytu narodowego, gdy tyle uwagi i energii trwoni się dla spraw drugorzędnych lub pozbawionych w ogóle znaczenia.

Roman Bratny

Z linii dłoni

Ci pochyleni nad gruzami robotnicy budowlani
zdają się wróżyć losy nieśmiertelnej Ojczyzny
z dłoni poległego pod sześcioma piętrami
podchorążego — dowódcy drużyny.

Przez piętra zbitych gruzów oni widzą jasno
wzgórek dłoni nazwany kiedyś księżycowym
a na nim widzą ludzi i wesołe stada
i wozy widzą, ziarno wiozące w stodoły.

Z zachodem grzbiet prostują — kościół Aleksandra
widać jest stąd wyraźnie:
w dwupłacie krzyża pikuje nad miastem
płonący duch boży.

Wróżbiarze schodzą schyleni — koniec dniówki.
Wszystkie pioruny bombardowań lądowały na cegłę,
która na dłoń upadła służącą do wróżby,
że będzie Niepodległa.

Jan Lipiński

Kościół w awangardzie polskości na Ziemiach Odzyskanych

Teren Województwa Dolnośląskiego tworzy od dnia 1. 9. 1945 r. nową jednostkę administracji kościelnej, tak zw. Administrację Apostolską Dolnego Śląska. Data to bardzo ważna, bo z tym dniem zamknięto okres 950-cioletni historii Kościoła w ramach Wielkiego Śląska. Co prawda już i wcześniej zachodziły zmiany w zakresie terytorialnym Diecezji Wrocławskiej, ale dotyczyły zawsze peryferii Wielkiego Śląska i nie naruszały zasadniczo granic biskupstwa, określonych bullami cyrkumskrypcyjnymi Hadriana IV. z 23. IV. 1155 i Innocentego IV. z dnia 9. 8. 1245 r. Bulla „De salute animarum" z r. 1821 wyłącza z diecezji wrocławskiej dekanaty Ostrzeszów i Kępno, które odtąd należą do archidiecezji poznańskiej. Ta sama bulla przyłącza do diecezji wrocławskiej dekanaty Bytom i Pszczynę, które dotąd należały do diecezji krakowskiej. Na zachodzie otrzymuje diecezja wrocławska tereny Dolnych Łużyc, które do tego czasu podlegały administracyjnie Wikariuszowi Apostolskiemu Saksonii, rezydującemu w łużyckim Budziszynie. Na północnym zachodzie i na północy przyłączono wtedy do biskupstwa wrocławskiego całą Brandenburgię i Pomeranię jako t. zw. Delegaturę Brandenburgii i Pomeranii. Wobec tego obejmowała Diecezja Wrocławska od r. 1821 do 1924 całą prowincję Śląska (z wyjątkiem powiatu głubczyckiego i części raciborskiego, które należały do archidiecezji ołomunieckiej, i ziemi kłodzkiej, należącej wówczas do archidiecezji praskiej). Dalej z Brandenburgii Rejencję Słubice n. Odrą, t. zw. ziemię Lubuską. Na terenie Austrii należało do Wrocławia księstwo nyskie i cieszyńskie. Delegaturę tworzyła reszta Brandenburgii, cała Pomerania z Rugią, z wyjątkiem kilku parafii, należących do archidiecezji poznańskiej, wzgl. diecezji chełmińskiej.

Bullą „Vixdum Poloniae unitas" z 29. VI. 1925 r. utworzyła Stolica Apostolska nową diecezję katowicką, której teren pokrywał się z terenem Województwa Śląskiego. Skrawki Śląska Dolnego przyłączone po pierwszej wojnie światowej do Wielkopolski, przyłączono wówczas do archidiecezji poznańskiej. W roku 1929 powstało Biskupstwo Berlińskie, identyczne terytorialnie z Delegaturą Brandenburgii i Pomeranii. Próby czeskie, wyjęcia z pod wpływów Wrocławia ziemi cieszyńskiej i nyskiej nie doprowadziły do wyniku pozytywnego. Również sugestie niemieckie, wysuwane podczas ostatniej wojny, zmierzające do zniesienia diecezji katowickiej i przyłączenia jej z powrotem do Wrocławia, nie zostały uwzględnione.

W chwili przyłączenia do Polski obszarów na wschód od Dolnej Odry i Nysy Łużyckiej Archidiecezja Wrocławska w granicach wyżej określonych weszła znowu jako całość w skład Państwa Polskiego z wyjątkiem Dolnych Łużyc i Śląska czeskiego. Po wyzwoleniu, uwzględniając potrzeby autochtonów-Polaków i nowoprzybywających rodaków, przystąpiono do odnowienia życia kościelnego, co żadnych trudności nie przedstawiało na Opolszczyźnie, na Dolnym Śląsku, natomiast spotkało się z trudnościami natury personalnej.

Na samym wstępie tego okresu umarł dnia 6. 7. 1945 r. Arcybiskup-metropolita Wrocławski, Kardynał Bertram. Już dnia 15. 8. 1945 r. mianuje Stolica Apostolska dla Ziem Zachodnich 5 administratorów apostolskich z władzą biskupów rezydencjalnych, z których trzech rezyduje na terenie dotychczasowej Archidiecezji Wrocławskiej, ze stolicami we Wrocławiu, Opolu i Gorzowie.

Z dniem 1. 9. 1945 r. objęli nowi dostojnicy swoje diecezje w posiadanie i od tego dnia każda z nich prowadzi odrębne życie. zależnie od warunków miejscowych. W dniu 1. 10. 1945 r. przyłączyła Stolica Apostolska do Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska Generalny Wikariat Kłodzki, zależny dotąd jurysdykcyjnie od Archidiecezji Praskiej, a do Adm. Ap. Śląska Opolskiego te parafie powiatu głubczyckiego i raciborskiego, które dotychczas należały do Archidiecezji Ołomunieckiej.

Adm. Ap. Dolnego Śląska liczy 525 parafii. Wielka część z nich ucierpiała poważnie wskutek działań wojennych. Kościoły i gmachy kościelne są przeważnie uszkodzone lub zburzone. Dlatego najpoważniejszą troską polskiej władzy kościelnej jest zabezpieczenie kościołów i innych gmachów, żeby umożliwić normalne życie kościelne. Do tej dziedziny należy również troska o uratowanie zabytków architektury i sztuki na terenie kościelnym. Prywatna inicjatywa kilku księży osiągnęła już bardo piękne rezultaty.

Wystarczy wspomnieć we Wrocławiu kościół św. Doroty, św. Macieja, św. Rodziny, św. Józefa, a na prowincji kościoły w Brzegu, Oleśnicy, Twardej Górze, Oławie, Środzie. Odbudowuje się wspaniały kościół św. Krzyża, zabezpiecza się zabytkowe kaplice zbombardowanej i wypalonej prastarej katedry wrocławskiej.

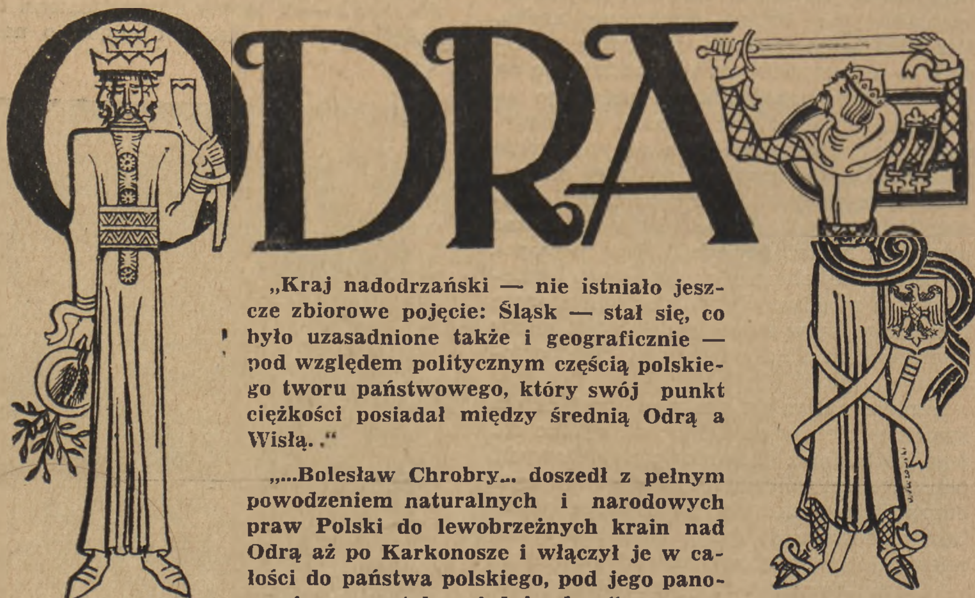
Aż do zakazu hitlerowskiego odprawiano we Wrocławiu nabożeństwa polskie w kościele św. Marcina, na „Ostrowie Tumskim", a na bramach katedry jeszcze tydzień przed wybuchem wojny widniał w języku polskim „Mandat Postny". Były to krople w morzu. Charakter dorywczy miało również duszpasterstwo polskie na Dolnym Śląsku przed 1. 9. 1945 r. Tak np. we Wrocławiu odprawiono nabożeństwa polskie tylko w kościele św. Bonifacego i stąd nazywano go kościołem polskim. Dzisiaj są we Wrocławiu wszystkie kościoły polskie, bo we wszystkich odprawiają się nabożeństwa polskie. A na prowincji również nie ma kościoła katolickiego, w którym by nie rozbrzmiewały potężne pieśni polskie, pokrzepiające kazania polskie, gdzie by nie spowiadano po polsku i chóralnie czy szeptem nie odmawiano modlitwy polskiej. Polski kościół daje renesansowi polskiemu na Zachodzie piętno trwałości. Koło kościoła i kapłana polskiego krystalizuje się życie polskie.

Do duszpasterstwa dochodzi jeszcze praca społeczna w licznych szpitalach, ochronkach, przytułkach itd.

Archidiecezjalny Związek „Caritas" ma na Dolnym Śląsku 70 oddziałów parafialnych, które niosą pomoc naszym biednym.

Po zupełnym przeprowadzeniu repatriacji struktura Dolnego Śląska również pod względem kościelnym ulegnie poważnej zmianie. W ciągu bowiem 400 lat różne rządy niemieckie odbierały Kościołowi na Śląsku całe parafie; likwidowały je, albo przekazywały innym wyznaniom. Nie działo się to nigdy na korzyść polskości. Dlatego jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że wracając do nadodrzańskich ziem, ludność polska upomina się o te dawniejsze polskie i katolickie obiekty kościelne.

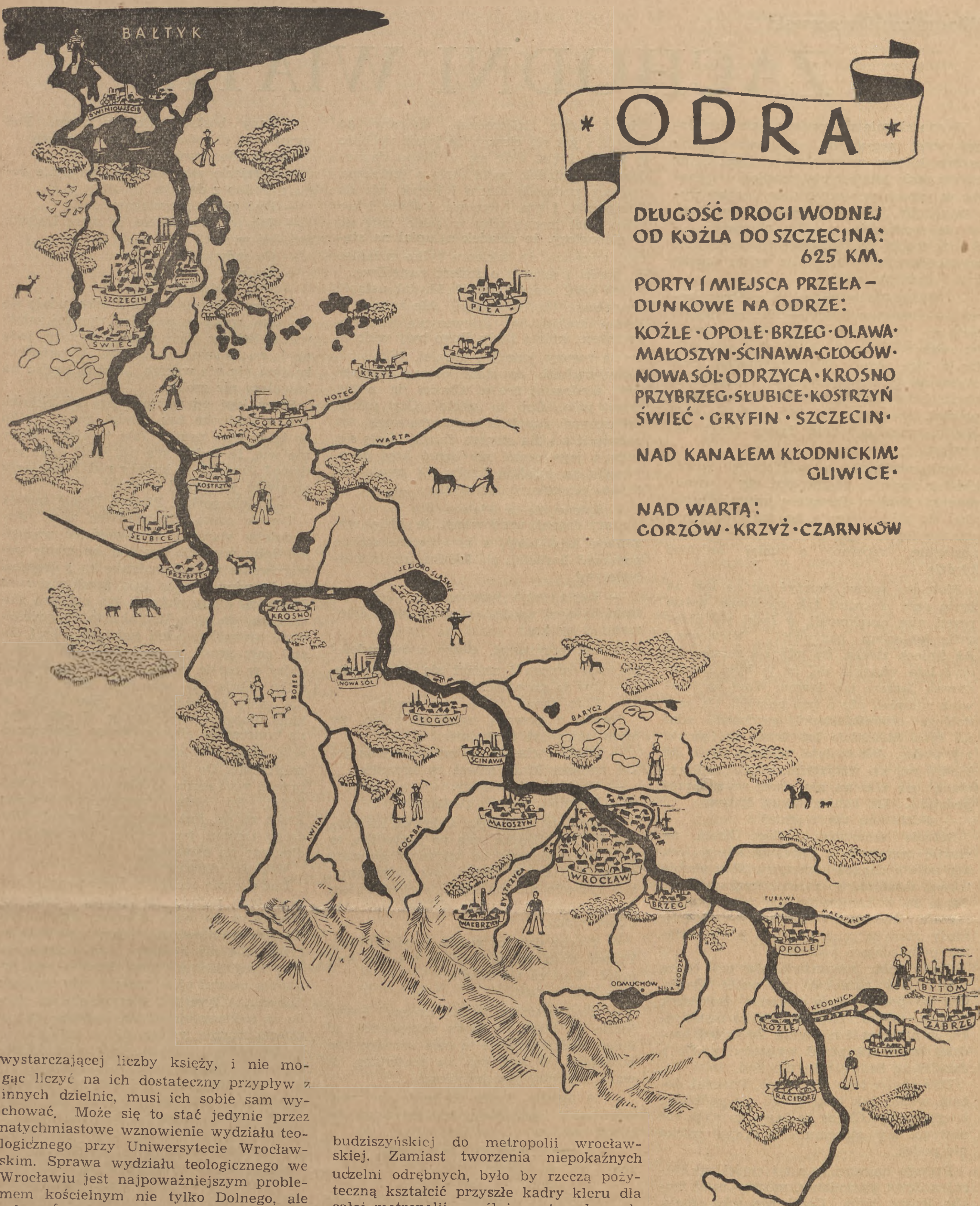
Lecz najwięcej trudności nastręcza kwestia personalna. Podczas gdy na terenie Dolnego Śląska było w r. 1939 przeszło 800 księży, to w tej chwili jest na tym samym terenie tylko 270 księży polskich. Co prawda należy się liczyć z przybyciem jeszcze wielu księży na Dolny Śląsk, ale w najlepszych warunkach liczby 1400 — 1600 ta dobrowolna imigracja nigdy nie osiągnie, a tylu księży będzie Dolny Śląsk potrzebował, gdy po repatriacji Niemców żywioł polski zajmie wszystkie miejscowości. Wówczas wszystkie polskie placówki kościelne, likwidowane w ciągu 400 lat, winny odżyć w swej pierwotnej polskiej formie. Dolny Śląsk, nie mając



„Kraj nadodrzański — nie istniało jeszcze zbiorowe pojęcie: Śląsk — stał się, co było uzasadnione także i geograficznie — pod względem politycznym częścią polskiego tworu państwowego, który swój punkt ciężkości posiadał między średnią Odrą a Wisłą. ."

„...Bolesław Chrobry... doszedł z pełnym powodzeniem naturalnych i narodowych praw Polski do lewobrzeżnych krain nad Odrą aż po Karkonosze i włączył je w całości do państwa polskiego, pod jego panowaniem powstałego i dojrzałego".

(Josef Pfitzner: Besiedlungs- Verfassungs- und Verwaltungsgeschichte des Breslauer Bistumslandes. I część. Reichenberg i. B. 1926).



wystarczającej liczby księży, i nie mogąc liczyć na ich dostateczny przypływ z innych dzielnic, musi ich sobie sam wychować. Może się to stać jedynie przez natychmiastowe wznowienie wydziału teologicznego przy Uniwersytecie Wrocławskim. Sprawa wydziału teologicznego we Wrocławiu jest najpoważniejszym problemem kościelnym nie tylko Dolnego, ale całego Śląska i polskiego Zachodu w ogóle. Przy ostatecznym bowiem uregulowaniu stosunków kościelnych w Polsce, bez wątpienia Wrocław pozostanie nadal siedzibą metropolity Śląskiego lub Nadodrzańskiego, przy czym sufraganami mogły by zostać diecezje wyłączone z dotychczasowej Archidiecezji Wrocławskiej — a więc Opolska i Lubuska. Ważą się jeszcze losy Łużyc. Przy odpowiednim załatwieniu sprawy nie wydaje się niemożliwe włączenie również łużyckiej diecezji budziszyńskiej do metropolii wrocławskiej. Zamiast tworzenia niepokaźnych uczelni odrębnych, było by rzeczą pożyteczną kształcić przyszłe kadry kleru dla całej metropolii wspólnie, a tę rolę spełnić może jedynie wydział teologiczny Wszechnicy Wrocławskiej.

Nie przesądzając załatwienia politycznej strony sprawy łużyckiej, powinna się Polska w swoim własnym interesie żywiej niż dotychczas zająć przyszłością narodu łużyckiego, chociażby przez pomaganie w wychowaniu rodzimego kleru łużyckiego, którego rola w przetrwaniu narodowym Łużyc jest wielka. Na własny uniwersytet Łużyczanie nigdy się nie zdobędą. Takim uniwersytetem dla Łużyc może być tylko Wrocław. Myśl ta nie jest nowa. Po zniesieniu łużyckiego seminarium duchownego w Pradze, inteligencja łużycka zwróciła się do Episkopatu Polski z prośbą o pomoc w wychowaniu własnego kleru. Ówczesne warunki nie pozwoliły na pomoc natychmiastową. Dzisiaj, kiedy Polska graniczy z niepodległymi może jutro Łużycami, może i powinien Episkopat Polski prośbę ówczesną zrealizować.

Antoni Pawlikiewicz

Między Karpatami a Bugiem

Gdy wyjeżdżałem w marcu w kilkotygodniową podróż po ziemiach naszego południowo - wschodniego pogranicza, towarzyszyły mi przy licznych pożegnaniach słowa niewypowiedziane i niedomówione, kierowane jakby do człowieka, którego — kto wie — widzi się po raz ostatni. W pojęciu tych osób wyjazd na wschód stanowił bez porównania większy egzotyzm i drogę w nieznane, niż wyprawa na nasz nowy zachód.

Z ziemiami nad Odrą i Nysą zaprzyjaźniliśmy się szybko. Wątpię, czy jest w Polsce wielu ludzi, którzy nie dokonali na przestrzeni roku choćby jednego wypadu dla „rozejrzenia się" na zachodnich terenach. Publikacje na ten temat były i są nadal bardzo bogate i różnorodne, dzięki czemu społeczeństwo mogło się dostatecznie zapoznać z zagadnieniami Ziem Odzyskanych. Ich atrakcyjność sprawiła, że Wrocław, Opole, Wałbrzych, czy Jelenia Góra są dzisiaj lepiej znane, niż Rzeszów, Przemyśl, Sanok, czy Zamość.

Wydaje się, że ta obecna jednokierunkowość zainteresowań społeczeństwa nie jest zupełnie słuszna. Polska bowiem nie składa się z Ziem Zachodnich, ale — jak sama nazwa wyraźnie mówi — stanowią one część naszego państwa. Czy losy pozostałych jego części mają być dla nas obojętne? Widoczna tendencyjność różnych niepowołanych informatorów wytworzyła w społeczeństwie fałszywy obraz panujących na wschodnim pograniczu stosunków. Poszły w obieg niewiarygodne nieraz plotki, dając powód do patrzenia na ziemie za Wisłą i Sanem, jak na tereny egzotyczne i tajemnicze znajdujące się w graniach naszego państwa.

Zbliżenie do Ziem Odzyskanych nie może być w żadnym wypadku równoznaczne z oddaleniem się od obszarów wschodnich. Charakterystyczne milczenie o nich naszej prasy, uważającej wschodnie pogranicze za wstydliwy temat, nie jest szczęśliwym rozwiązaniem. Nie wolno nam zapominać o tych terenach, na których mieszka kilka milionów Polaków. Przekonałem się, że wiedzą oni dużo więcej o tym, co się dzieje w reszcie kraju, niż mieszkańcy środkowej i zachodniej Polski o współczesnym życiu na naszym „dalekim" wschodzie.

Na południowo - wschodnim pograniczu istnieje kilka problemów i o nich należy nie szeptem i wstydliwie, lecz odważnie pomówić. Niektóre z zagadnień są specyficzne dla tamtejszych ziem. niektóre zaś powszechne całej Polsce. Poruszamy tylko te pierwsze.

Uważają niektórzy, że sprawa istnienia nacjonalistycznych band ukraińskich stanowi podstawowe tam zagadnienie. Na tym podłożu wyobraźnia ludzka znajduje pełne pole do popisu. Ostrzegano mnie życzliwie przed wyjazdem na wschód, zapewniając, że warunki bezpieczeństwa są tego rodzaju, iż nie dotrę do Rzeszowa, nie mówiąc już o „śmiałej wyprawie" w rejony podkarpackie, czy w pobliże Bugu. Okazało się to oczywistym nonsensem. Jeździłem nie tylko po głównych szlakach, lecz i bocznych i w żadnym wypadku nie miałem do czynienia z jakąkolwiek przygodą. Komunikacja na szosach jest wszędzie ożywiona, ciężarowe samochody z reszty kraju docierają od miesięcy w swoich wyprawach po artykuły żywnościowe do najbardziej odległych i „dzikich" zakątków i wracają pełne. Nie oznacza to, rzecz jasna, aby bezpieczeństwo w tych stronach było 100%, tak, jak nie ma go jeszcze i gdzie indziej.

Bandy t. zw. bulbowców wykazują żywotność w górzystym i zalesionym terenie, ale w żadnym wypadku nie odważą się uderzyć tam, gdzie są placówki wojskowe. Pozytywnie należy stwierdzić, iż zasięg akcji banderowskiej skurczył się, a zakończenie przesiedlenia ludności ukraińskiej do ZSRR pozwoli na ostateczną rozprawę z uzbrojonymi nacjonalistami. Poza tym istniały do niedawna jeszcze dość licznie zwyczajne bandy rabusiów, które zuchwałość swoją kierowały np. na częste napady w pociągach. Sprawa banderowska stanowi niemniej poważny problem o charakterze wewnętrzno-politycznym.

Front niemiecko-sowiecki zatrzymał się na południowo - zachodnich terenach ziemi rzeszowskiej od lipca 1944-go roku do stycznia 1945. Walki, jakie toczyły się w Karpatach i na Podkarpaciu należały do najbardziej krwawych i bezwzględnych. Jeżeli dodamy do tego uprzednie kampanie niemieckie przeciw Polsce w 1939 i Związkowi Radzieckiemu w 1941 oraz samą okupację hitlerowską i akcję bulbowską, to obraz przeżyć ludności i dokonanych zniszczeń będzie bardzo poważny.

Wynoszą one na całość województwa około 40%. Jasło jest zniszczone w 97%, Dukla — w 90%, Rzeszów — w 40%, Przemyśl — 38%. Jeśli chodzi o wieś, to wypalone gospodarstwa idą w dziesiątki tysięcy. W powiecie sanockim jest zniszczonych 5.200 gospodarstw, w przemyskim — na 140 gromad — 76 jest doszczętnie spalonych, w jarosławskim na 12 gmin zbiorowych — 5 jest zrównanych z ziemią, w krośnieńskim — 5.800 zniszczonych gospodarstw, w niżańskim — na 57 gromad — 16 zostało przez Niemców rozebranych, a na ich miejscu urządzono poligon artyleryjski, w powiecie hrubieszowskim wieś ucierpiała w 40%. Zniszczenie przemysłu w okręgu rzeszowskim doszło olbrzymiej cyfry 80%.

Nie ma potrzeby tłumaczyć [illegible] ludności, a na wsi — wręcz [illegible] w tych warunkach. Nie mając dachu nad głową, ani żywego inwentarza, ludność zgłaszała się masowo na wyjazd na ziemie zachodnie. Do marca br. wojewódzki PUR przesiedlił na zachód 100.000 osób, co stanowi ponad 10% ogółu mieszkańców. Ale lu[illegible] jest bardzo przywiązana [illegible]. Widziałem wsie, w których ludzie mieszkają, na skutek utraty gospodarstw, dosłownie w norach w ziemi, a jednak nie ruszają się z miejsca. Mieszkańcy Dukli, czy Jasła żyją w niezawalonych jeszcze piwnicach lub w poniemieckich bunkrach.

Z drugiej strony nie można [illegible] dalszego przesiedlania miejscowych Polaków, albowiem przy podtrzymaniu tej akcji, przy równoczesnym wysiedlaniu ludności ukraińskiej za San i Bug, zaistnieje niebezpieczeństwo [illegible]

rąk roboczych na roli i w lasach. Mówiono mi o projekcie Ministerstwa Lasów zalesienia opustoszałych ziem na Podkarpaciu. Sama taka ewentualność jest dostatecznym dowodem tragedii, jaką przeżywa miejscowa ludność. Z całego południowo-wschodniego pogranicza ocalały jedynie: Zamojszczyzna oraz powiaty chełmski i przeworski. Żywią one nadal intensywnie inne rejony Polski.

Ze strony rządowej idzie się tym zubożałym ziemiom z pomocą w ramach będących do dyspozycji skromnych środków. Ale pomoc ta nie wystarczy po prostu dlatego, że cały kraj jest ubogi. Wysiłki państwa w kierunku rychłego zagospodarowania Ziem Odzyskanych sprawiły, że obszary między Karpatami a Bugiem są dzisiaj jakby zapomniane, a sytuacja w dziedzinie martwego i żywego inwentarza jest poważnie niepokojąca. Sprawa żywnościowa może grozić wkrótce katastrofą. Mimo tak ciężkich warunków ludność zdaje egzamin ze swego obywatelskiego stanowiska: w akcji świadczeń rzeczowych i zasiewów jesiennych województwo rzeszowskie znalazło się na jednym z czołowych miejsc w kraju. Na 900 istniejących zakładów przemysłowych zdołano już większość uruchomić, włożywszy w to niesłychane, prawdziwie pionierskie wysiłki. Pamiętajmy, że na tych terenach znajdują się potężne fabryki przedwojennego COP-u i pracują one już dzisiaj dla celów pokojowych.

Pragnę podkreślić wysoką wartość moralną społeczeństwa, zamieszkującego kresowe dzisiaj ziemie. Jego prawdziwie patriotyczna postawa, gotowość do wszelkich wyrzeczeń, ofiarność i pomoc dla biednych, bezinteresowna praca na polu krzewienia kultury i sztuki, i to w dobrym wydaniu, przy ciężkich warunkach egzystencji — wszystko to jest dostatecznym chyba dowodem, ażeby w całej Polsce okazano chociaż trochę zainteresowania tym ziemiom, mającym piękne i bogate karty polskości w historii, a dzielną i niewzruszoną postawę dzisiaj. Milczenie i zapomnienie w odniesieniu do południowo-wschodniego pogranicza stanowi wielką i niezasłużoną krzywdę dla 3 milionów jego mieszkańców.

Władysław Dunarowski

ZACHODNI WIATR

Wygon ciągnie się wąskim pasem zielonej runi, wgryzając się gdzieniegdzie ostrym klinem w orne pole. Stary Piotr często pasie tutaj swoją krowinę, trzymając w jednej ręce powróz, w drugiej wystygłą fajkę. Z tej fajki — gdy się dobrze w niej pogrzebie, zapałką przypiecze — zawsze trochę piekącej goryczy jeszcze się wydobędzie, która tak mile łechta starczą krtań dawnego gazdy.

— Mocny Boże, na co to człekowi zeszło, — wzdycha Piotr. — Nie tak dawno wszyscy we wsi kmieciem cię nazywali, po rękach całowali i każdy był rad, gdy się z nim słowo jakie zamieniło. Dziś stoisz na tym wygonie jak na pokucie, chętnie byś do kogo ludzkie słowo przepedział, ale daremnie. Kto tędy chodzi? Nieraz przez pół dnia żywej duszy nie ujrzysz.

I nie wiadomo, o co Piotrowi więcej chodzi: czy o tę pogawędkę, czy o począstunek tytoniem. Pewnie o jedno i drugie. Gdy się z kim zagada, na ten czas zapomina o fajce, a gdy się porządnie dymem zaciągnie, zapomni o całej ludzkiej biedzie.

Piotr ma prawo skarżyć się na los, na życie całe. Przecież tak niedawno ludzie przed nim czapkowali, o łaski się ubiegali, kmieciem nazywali... Niedawno? Aż śmiech zbiera. Bo gdy się zacznie liczyć lata, okazuje się, że to było bardzo dawno. Jeszcze jak dawno. Wnet by człowiek zgłupiał, gdy o tym pomyśli. On sam dobiega osiemdziesiątki, gazdostwo zdał na syna piętnaście lat temu, już wnuki rej wodzą. Jak te lata uciekają. Było się kiedyś we wsi wszystkim, a dziś... Przystanąć się nikomu nie chce, słowa przepedzieć... Do bani z takim życiem.

— Gdzie ona tak ciągnie?

Szarpie sznurkiem. Więc Cisula na chwilę rezygnuje z poprawy swego losu tak mile pachnącą koniczyną. Niby skubie trawę, machinalnie rusza szczękami, ale ślepia są w koniczynie. Co za rozkoszny zapach. Zwłaszcza teraz przy zachodzie, kiedy rosa zaczyna opadać, kiedy listki tak podniecająco pęcznieją.

Teraz Piotr zastanawia się, czy córka będzie dziś narzekała na puste wymię. Czy po podoju poda staremu garnuszek ciepłego mleka? Zwykle narzeka na dziecka, że nijak paść nie umią. Że krowa bardziej łacna niż przed wyganiacką. Że o dziadkową krowę nikt nie dba.

Dziś chyba tego nie powie. Przecież dobrze widać, jak boki Cisuli się podniosły i wyrównały. Chyba że Jewa wymyśli coś nowego, aby staremu ojcu kapki mleka nie podać.

Prawdę mówiąc, to z tej części, na której z Jewą gospodarzy, mógłby mieć trochę lepsze życie. Część nie taka mała. Widać, że Jewka guchmani na swoją stronę. Tak by wynikało ze wszystkiego. Ale cóż on na to poradzi? Czy on tu ma swoją wolę? Dwa lata temu chciał się żenić, wyszukał sobie dziewczynę, któraby go chciała i już się cieszył, że jakoś upchnie tę resztę życia. Gdy się w domu dowiedzieli, że dziadek myśli serio o żeniaczce, wszyscy podnieśli alarm i krzyk nie do ścierpienia. I syn, i synowa, i Jewa, i kto tylko miał trochę tchu w sobie, darł się w niebogłosy, że dziadek zgłupiał na starość zupełnie, że takiemu tylko różaniec do garści i pacierz o śmierć szczęśliwą.

Cóż miał stary począć? Musiał ustąpić i przyznać tamtym rację. Ale mimo to Jewka zrobiła tej dziewczynie straszną awanturę, której ślady długo były widoczne na twarzy i jednej i drugiej. Wiadomo, że wywąchali, co stary obiecał zapisać swej niedoszłej żonie. Chodzi im o ten mórg pola. Czy to wiele? Czy młoda dziewczyna zupełnie bezinteresownie ma poświęcić się dla starego dziada? Boją się, żeby z jego części nie liznął ktoś obcy. Pilnują na każdym kroku. O, wcale nie trudno przeniknąć ich myśli.

— Śpiewajcie se Pietrze.

Stary drgnął, uradowany, że idzie wygonami ktoś obcy, z kim będzie można pomówić bardziej po ludzku niż z najbliższymi.

— Kejta jakie śpiewanie... Żeby do fajki było co włożyć, toby się może śpiewało. A ty kej?

Tomek przystanął. Stary z tej radości popuścił sznura i zbliżył się do sąsiada.

— Cos ta porabiacie?

— Koło domu. Jak o tym czasie.

Tomek z powagą oglądnął niebo, po czym zauważył spokojnie:

— Wiatr zachodni się zrywa, będzie jakaś zmiana. Może nawet co kropnie.

— Chyba kiej w nocy.

— Wygnali was do pasienia?

— Sam się wygnałem. O krowę mi chodzi. Bo jak dziecka żęną na pastwisko, to sam wiesz dobrze, co takim w głowach siedzi. Ino swoje dłubki, ino beśtefrenty, a o bydlęciu nie ma kto pomyśleć. Potem do ziemniaków musisz chlipać żur zamiast mleka.

— Trochę dziecka winne, a więcej łąka. Trawa zbita na nic, nowa nie ma kiej urość. Więc co się dziwić.

— Tak ci, tak.

— No, wreszcie to się zmieni. Paweł jedzie na Śląsk na nową gospodarkę, od niego wydzierżawicie to całe urwisko nad potokiem. W sam raz na pastwisko. A wam najlepiej pasuje odkupić...

— A byłoby. Tylko nie moja już rzecz psuć sobie tym głowę. Jest młody gazda, niech kupuje.

— Słusznie mówicie. Jest gazda... dziś tam hula na weselu.

— Na jakim?

Tomek nie rozumie: udają czy chcą ukryć? Tylko z jakiej racji, jeśli wszystkim we wsi wiadomo.

— Jakto na jakim? Kpicie se ze mnie, bo nie co innego.

— Rany boskie. Nic nie wiem. Pod sprawością ci mówię, że nic nie wiem.

Tomek nie dowierza.

— Udajecie albo głuptoka ze mnie robicie. Jedno z dwojga.

— Dyć ci się przysięgam...

— Jak to? Nie wiecie, że wasz Ludwik ma dziś wesele?

— Co mówisz? Ludwik?

— Ludwik.

— Mój Ludwik?!

— Wasz. Wrócił z tego Śląska, udało się mu tam, wziął gospodarkę, wczoraj załatwił u księdza, dziś wesele a jutro jadą oboje na to swoje gazdostwo. W pojedynkę tam nic nie wskóra. Zresztą zapisu na kawalera nie zrobią.

Stary kipi od wzbierającej wściekłości. Nie o Ludwika mu chodzi, nie... tylko co teraz wieś powie? Jaki to ojciec, który nie wie, że rodny syn się żeni? Jaka rodzina? Przecież to kmiecy ród. I jak teraz sprawiać się przed ludźmi?

— Dejcie spokój, Pietrze. Dejcie spokój.

Tomek szuka odpowiednich słów. Wypadałoby staremu wypowiedzieć wszystko, żeby wreszcie spojrzał na swoje postępowanie względem Ludwika i przyznał się do winy. Po co tyle przekleństw na Ludwika, kiedy chłopak ma całkiem słuszny żal do ojca. Bo jaka to sprawiedliwość ojcowska, jeżeli najstarszy brat dostał cały grunt, a on ledwie mały spłat, który w czasie wojny stał się w dodatku tylko fikcją. W rezultacie tego Ludwik nie może się ożenić, ani pomyśleć o jakimś ułożeniu losu. Ni tak, ni siak. Wojna tymczasem ciągnie się w nieskończoność, stąd w chłopaku coraz większe rozgoryczenie. Do świata całego, do ludzi, a przede wszystkim do ojca. Bo ojciec najbliżej. Bo ojciec wszystkiemu winien. Przez co on jest gorszy od brata? Dlaczego tamten jest we wsi pierwszym, a dlaczego on ostatnim?

Właśnie: dlaczego?

Ludwik nie szukał podstawowych przyczyn tego układu rzeczy, nie analizował stosunków na wsi, zwłaszcza kwestii podziałów gruntowych i prawa spadkowego, tylko całe zło kładł na ojca oraz brata. Oni wszystkiemu winni. Brat — że chytrością omotał ojca i zabrał cały majątek. Ojciec... Chwilami wierzyć się nie chce, że to rodzony ojciec. Bo Ludwik jak pamięcią sięgnie wstecz, nie widzi ojca, ale kogoś obcego, któremu losy najmłodszego syna są całkiem obojętne. Czy ojciec kupił mu kiedy ubranie, buty? Taka myśl nigdy nie przyszła Piotrowi do głowy. Więc chłopak musiał zdobywać wszystko własną przemyślnością. Gdy żyła matka, radziła jak mogła. Ale potem... Ile to wstydu trzeba było zjeść przy spieniężeniu zboża, co do pochodzenia którego nikt we wsi nie miał najmniejszej wątpliwości.

— Widzicie, Piotrze, młodemu trza na to i owo, musiał se radzić... A wyście byli już za starzy, żeby to zrozumieć.

Aleksy Tołstoj

Iwan Groźny

(Fragment XII odsłony)

GRJASNOJ: Nie żałuj, panie, że to mnie kazałeś wypłacić owych tysiąc rubli.. Ptaszka w polu złapałem... sam się dziwię... Nie poddał się, ten jednooki diabeł, musiałem go po trochu przywołać do opamiętania.. Przyprowadźcie go, chłopcy! (Dwóch opryczników wlecze skrępowanego Mustafę do środka). **Mustafa, pierwszy ułan Chana.**

IWAN: Uwolnijcie naszego drogiego gościa z więzów.

GRJASNOJ: (zdejmuje Mustafie więzy). **Pokłoń się władcy aż do ziemi!** (Mustafa rzęzi i patrzy spodełba na Iwana). **Zapytaj grzecznie o zdrowie... Ugnij się, barbarzyńco, inaczej przypomnę ci Bachczysaraj!**

IWAN: Daj mu spokój! (Do Mustafy:) **Dlaczego milczysz ulanie? Albożtak bezgranicznie boisz się moich wojowników?**

MUSTAFA: Czyń co do ciebie należy, carze Moskwy, wbij mnie na pal. Wtedy zobaczysz, jak się boję.

IWAN: Na pal cię nie nabiję.

MUSTAFA: (pełen grozy) **Jakiż zatem masz dla mnie sposób męczarni.**

IWAN: Dam ci konia i odeślę cię Chanowi z powrotem. Powiesz mu, że zapytuję: „Czy Chan Dawlet Girej jest zdrów?"

MUSTAFA: (śmieje się dziko) **Chan jest zdrów!**

IWAN: Czy Chan był z naszych upominków zadowolony?

MUSTAFA: Chan połknął twoje dary jednym haustem, pomimo to nie jest syty.

GRJASNOJ: Uważaj, ja cię nauczę, jak się odpowiada władcy.

MUSTAFA: Astrachań i Kazań, nasze stare kraje, oto są dary, których Chan chce od ciebie... Korony carskiej i twojej głowy — oto są dary.

GRJASNOJ: Panie, pozwól, że go uspokoję.

IWAN: powstrzymuje go.

MUSTAFA: Dlaczegoś nie wyruszył nad Okę przeciwko Chanowi, miast siedzieć za wozem? Gdybyś posiadał wstyd i godność, byłbyś wyruszył przeciwko Chanowi i poległ w chwale.

GRJASNOJ: (krzyczy równocześnie z innymi opryczanikami) **Zabić, zabić tego psa!**

IWAN: powstrzymuje ich ponownie.

IWAN: Jeszcze, Mustafo, zapytaj Chana, czy jego szabla jest dość ostra, albowiem szczyci się, że mi głowę obetnie. — Chan Mamai był mocniejszy odeń, nic jednak po nim nie pozostało, oprócz szabli, która wisi u mego pasa. (Odpina szablę). **Została ona zdobyta pod Kulikowem w namiocie Chana. Chan Mamai nawet swoje kobiety wtedy rzucił i uciekł w wielkim strachu. Doręcz tę szablę naszemu kochanemu bratu, Dewlet Girejowi, jako honorowy upominek, ponieważ jeszcze nie jest syty z moich dawniejszych darów.**

MUSTAFA: (bierze szablę i całuje ją) **Chan Mamai, Chan Mamai, Allah il Allah...**

GRJASNOJ: Zrozum sens zagadki, Mustafo! (Śmieje się głośno, tak samo opryczanicy).

— Więc ja jako ojciec miałem popierać jego łajdactwa? Miałem buty kupować, żeby on miał w czym po nocy łazęgować i gzić się z dziewkami? Miałem się przyczyniać do obrazy boskiej?

— Co wy mówicie. Buty butami a gzicie gziciem. Ubranie nie tyle potrzebne na noc, co w dzień.

— Co ci powiem, to ci powiem, Tomku, ale jak chłopak nie ma w czym wyjść, to prędzej posiedzi w chałupie, bydła popasie i obrazy boskiej uniknie. Wierz mi, bo było czego ci nie powiem. Zawsze chciałem jak najlepiej, od serca. I za to mam dziś taką podziękę. Taki despekt. Chyba nie ma we wsi drugiego, którego spotkałoby to, co dziś mnie. Na moje stare lata...

Końcem sznura wyciera zaczerwienione oczy. Chwilę męczy się w bezradnej złości i żalu. Potem rzuca sznur na ziemię i w nagłym porywie energii zaczyna się zaklinać, że Ludwika już więcej znać nie chce. Od dzisiejszego dnia już nie jest jego synem.

— Jeżeli dla niego nic nie znaczę, niech tak będzie. Obejdę się bez dzieci; mnie już dużo nie trzeba. Niech sobie jadą na ten Śląsk i choćby na koniec świata — mnie wszystko jedno. Ja też wnet pojadę...

— Zakurzcie se!

— Co ja widzę. Jakisi prymny masz tabak. Czyś go nie wycyganił od Rosjan?

— Nie pytajcie się, ino biercie. Wojtek od Sędzika wrócił z niewoli, tak przywiózł trochę. Był w strefie amerykańskiej. Ale skąd tabak, nie pytałem się.

— Patrzcie, patrzcie... mówisz, że wrócił Wojtek. Wielki czas. Sześć lat tyłać się po świecie, to chyba dosyć na jedną wojnę. Ale co dobry tabak, to dobry...

Stary mięknie coraz bardziej. W końcu dochodzą obaj z Tomkiem do wniosku, że właściwie Ludwik umie sobie radzić, choć wcale nie wygląda na takiego. Tylko z tym weselem mógł zrobić trochę inaczej. Przecież by mu nikt nie bronił. Tak samo z tym wyjazdem... Ciekawość, jak też to tam wygląda na tym Śląsku? Tyle już ludzi ze wsi pojechało, tyle się wybiera... Piotra zaczyna ogarniać podniecenie.

— Żebym był młodszy o dwadzieścia lat, jak nie jestem, musiałbym się przejechać na ten Śląsk i obejrzeć, jak sobie nasi ludzie tam radzą. Jak świat wygląda, jaka ziemia...

— E, krzepko się jeszcze trzymacie, możecie jechać do Ludwika.

Stary nie protestuje, ale się namyśla, wargami rusza. No, tak. Gdyby syn inaczej postąpił z tym weselem, to kto wie. Ale tak... Co za głupia sytuacja. Przecież teraz wypadałoby się zapytać, z kim Ludwik się żeni. Przecież to bardzo ważne kogo sobie wybrał. Tylko że ojcu nijak się pytać o to. Może z tą Stefką? Bo o uszy starego obiły się takie słuchy, których zupełnie nie brał pod uwagę.

We wsi natomiast od wesela u Jacków już było wiadome, jakie zamiary ma Ludwik względem Stefki. Tańczył przecież tylko z nią, do innej dziewczyny ani się nie zbliżył. Trzeba ślepym być, aby nie wiedzieć, co to znaczy.

Lecz ta pogłoska nie zrobiła we wsi prawie żadnego wrażenia. Ludwik? Cóż tam taki Ludwik? Ani urodny, ani śwarny w sobie, ani mocny w gębie, ani na gębie. Każdy się godził z tym, że z wszystkich Staciaków Ludwik najpośledniejszy. Żeby chociaż w ruchach był więcej poskładany, w obejściu z ludźmi — ale gdzie tam. Całkiem do niczego. Tyle że syn gospodarski. I to nie z byle jakiego gospodarstwa. We wsi nie ma większych. Więc to jedno stawia Ludwika w pewnej pozycji społecznej. Tylko przez to coś znaczy.

Ale od ożenku brata, który objął grunt po ojcu, nawet ta ostatnia pozycja zmalała. Teraz Ludwik ma już tylko prawo do spłaty, co w obecnym czasie wojennym przedstawia się bardzo mglisto.

Czyli — jest całkiem jasne, że Ludwik posiadanym majątkiem świata nie zwojuje. To też nic dziwnego, że jego zamiary względem Stefki nie zrobiły we wsi większego wrażenia. Byli nawet tacy, którzy Stefce mocno odradzali. Bo choć ona tylko służącą i cały jej majątek w rękach, to jednak mogłaby znaleźć nie takiego niedorajdę. Jest urodna, zdrowa i silna, więc po co sobie takim świat zawiązuje? Czy nie ma innych? Czy myśli, że z Ludwikiem będzie jej lepiej niż na służbie? O, żeby tylko kiedyś gorzko nie żałowała.

Na razie obydwoje czekają. Najpierw — na koniec wojny, potem — na jakąś zmianę, która unormuje życie i sprawi, że ów spłat od brata nabierze pierwotnej wartości. Wtedy będą mogli pomyśleć o czymś poważnie. Dopóki się jednak coś w świecie nie stanie, muszą czekać. Czekać i żyć w niepewności. Jak zresztą wszyscy.

Stefka należy do tych, co to bez kłopotów żyć nie potrafią. — To też lęka się wszystkiego i zawsze przewiduje najgorsze. Że wojna nigdy się nie skończy a ją wywiozą na roboty do Niemiec; że ten spłat Ludwika straci w końcu całkowicie swą wartość; że Ludwikowi przez ten czas ludzie odradzą żeniaczki a ona będzie skazaną na wieczną poniewierkę po służbach; że nigdy głowy nie podniesie jak zwyczajny człowiek, że...

Najwięcej ją martwi przewlekanie się wojny. A już pasja ją porywa, gdy słyszy, jak ktoś swe mądrości pokazuje i przepowiada koniec wojny za rok albo dwa. Kto to wytrzyma do tego czasu!

To „wytrzyma“ rozumie w ten sposób, że Ludwik gotów się rozmyśleć przez ten czas. Tyle różnych sposobności... A ludzi, którzy mu odradzają, też nie brak. Bo ludzie jak ludzie: wszędzie lubią ryć, gdzie nie trzeba.

Więc ile razy spojrzy w osiedle Ludwika, ciężko wzdycha. A ma o co wzdychać. Bo właściwie — to niczego nie jest pewna: ani przyszłości, ani tego, czy Ludwik ją naprawdę kocha. Bo czy od takiego Ludwika można się czegoś dowiedzieć? To też nie wie, jak się ma zachować wobec tych koleżanek, które jej tak zazdroszczą kawalera. Należałoby się pokazać z honorem, boć to nie pierwszy lepszy, ale gospodarski syn, lecz spojrzenie w niepewną przyszłość, zasnutą dymami okrutnej wojny, rozkłada człowiekowi myśli i doprowadza do wszelakiego zwątpienia.

Aż tu nagle wszystko uległo raptownej zmianie. Wojna się skończyła, życie zaczyna już wracać do normy.

Na wsi spokój jak zawsze. Tylko ludziska się głowią i po nocach od myślenia spać nie mogą. Wszystkich owiał zachodni wiatr. Nie ma innych rozmów, jak tylko o tym, kto znów pojechał na Śląsk, kto na Pomorze, jakie wieści stamtąd przywiózł. Czy naprawdę jest tam tyle ziemi? Czy dobra do uprawy? Czy warto ryzykować wyjazd? Czy to prawda, że bez pieniędzy, bez niczego można dostać gospodarkę z budynkami, maszynami i ze wszystkim? Czy to prawda? Czy kiedyś nie odbierze kto tego? Tu wprawdzie człowiek posiada nie wiele, ale ma świadomość, że to, co posiada, jest jego i może z tym robić, co mu się podoba.

Pojechało tylu, pojechał Ludwik. Pojechał i nie wraca. A Stefka znów czeka. I znów się martwi i niepokoi. Próbuje sobie też wyperswadować jak najkorzystniej dla siebie. A zatem — jeżeli nie wraca, to dowód, że się tam osiedli. Że pewnie wziął gospodarkę.

Tymczasem odjeżdża ze wsi nowy transport na zachodnie ziemie. Chyba piętnaście rodzin. Stefka pędzi na zwiady do Stokłosy. Już są spakowani. Jedynie starzy dziadkowie zostają. Mają jakieś wątpliwości. Nawet nie bardzo wierzą, że się już wojna naprawdę skończyła. Bo z tymi wędrówkami ludzi — to może jakiś podstęp wojenny. Zresztą, Bógże raczy wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Młody gazda nie tłumaczy ojcom wiele. Był za Namysłowem, zobaczył jak co jest i już się nie zastanawia. Tu miał trzy morgi, tam upatrzył sobie trzydzieści. Mógłby wziąć więcej, lecz kto by mu to obrobił? Do pracy ma tylko żonę i dwoje dzieci. Ale ufa, że da sobie radę. A to, że starzy nie chcą jechać, to nawet dobrze się składa. Niech zostaną na razie. Przecież żniwa nadchodzą, to pozbierają, co tam te trzy morgi zrodziły. A młodzi będą zbierali już plony z tej ziemi, na którą czekali całe wieki.

— Stefka, ty jeszcze tu?

Dziewczyna nie wie, co odpowiedzieć. Ale dowiaduje się dobrych nowin. Ludwik wziął ładną gospodarkę, dom murowany, pod blachą, ogrodzony płotem drucianym. Bez mała — jak jaki dwór. Ludwik już tam siedzi, ale musi się galopem żenić, bo jako kawaler przywłaszczenia nie dostanie.

Stefka nie pyta o więcej. Teraz chciałaby pokazać, że się z nią nic nie dzieje, że serce jej nie wyskakuje, że... Tylko jak tego dokonać? Kiedy serce tak łomoce a całe ciało drży. Kiedy sama nie wie, co się z nią dzieje. I że to ludzie muszą akurat widzieć.

Jest rozanielona. A więc prawda, że zostanie gospodynią. Większą niż tutejsza sołtyska. Nie, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Tylko... że Ludwika nie ma. Gadanie obcych jeszcze nic nie znaczy. Prawda, prawda, Ludwika nie ma.

Znów długie chwile drżenia i niepokoju. Znów tysiące czarnych myśli, obaw.

Wreszcie odezwał się sam Ludwik. Dał znać Stefce, aby się zabierała do drogi, bo on już nie przyjedzie. Tylko ona niech zabierze ze sobą papiery swoje i jego, to tam wezmą ślub. Ale niech nic nie zwleka, bo roboty czeka na nich wiele.

Stefka już nie potrzebuje się kryć z tym, co się w niej dzieje. Więc szykuje się do drogi i lata jak szalona. Pojedzie razem z transportem. Już chłopi poszli na stację, by przewiedzieć się, kiedy odjeżdża. Dziś czy jutro — dla niej wszystko jedno. Nie zostawi tu nic, za czym mogłaby tęsknić. To ździeranie sią po służbach, ta wieczna harówka dla drugich, bez chwilki własnego życia, kiedy by mogła poczuć, że jest przecież człowiekiem, człowiekiem jak inni... Póki młoda, jeszcze pół biedy. Lecz na starość — strach pomyśleć. Dla takich nie ma na wsi ani schroniska, ani przytułku. Zostaje tylko kij żebraczy. Więc czy jest za czym płakać?

Ale mimo to płakała, kiedy zbierała liczne węzełki i toboły. Może tak wypadało.

Tego samego dnia, kiedy wyjechała, zjawił się we wsi Ludwik. A więc rozminęli się. Ale to nic. Ona ma się gdzie zatrzymać, bo już tam osiedlił się jej brat. Nawet do niego pojechała. Zresztą Ludwik zaraz wraca. Może zdąży na transport, który odjeżdża pojutrze. Chciałby zabrać coś z żywizny. Bo tam zboże jest, chleb jest, tylko wszelakiej żywizny brak. Ani kurki, ani gąski, ani krowy w stajni — nic. Cóż że dużo pola, ładne budynki, kiedy wszystko jakby martwe. Trzeba koniecznie to ożywić — ludźmi i zwierzyną. Wtedy dopiero zacznie się tam życie.

Biegając po wsi za tym i owym, zmówił się z Kędrami. Dowiedział się gdzieś, że mają do sprzedania kozę. Na początek niechby była koza. Byle jakaś żywizna w domu, byle trochę mleka.

Od tego do tego... i Ludwik ubił interes. Zaczęło się od kozy a skończyło na czym innym. Czyli inny interes, niż był w projekcie. O, całkiem inny.

Po prostu Kędrowie zaczęli go gwałtownie swatać. Bo czemużby nie mieli mu dać swej Anieli? Przecież on teraz na równi z nimi. Taki sam gruby gospodarz.

Ludwikowi ogromnie zaimponowało, że go już uważają za grubego gospodarza. A ponieważ spadło to na niego nagle, więc tym bardziej przewróciło mu w głowie. No, i zaczął się zastanawiać... Właściwie to on się wcale nie zastanawiał, bo wszystko tłoczono mu do głowy w jak najbardziej dosadny sposób. I wtłoczono.

Więc ślub odbył się w trzech dniach, na miejscu i ze zwykłym ceremoniałem. Wszystkie starania z tym związane wzięli na siebie Kędrowie. Za żoną dostał Ludwik krowę i dwa morgi ziemi. Krowa potrzebna zaraz, a te dwa morgi — na wszelki wypadek. Zabezpieczyć się nie zawadzi. Niechże coś zajdzie, że musiałby wracać, ma już do czego. Ostatni argument był bardzo przekonywujący.

Ale ogół wsi był innego zdania.

To też gdy Ludwik szedł na stację, wioząc swój nowy dobytek, prawie nikt nie wyszedł przed próg, by mu życzyć szczęścia w tym nowym życiu. Kobiety szemrały całkiem głośno. Że bez honoru żadnego, że nie chłop z niego ale fujara. Bo kto widział tak robić. Kto widział. Chyba ten zachód tak ludziom w głowach poprzewracał. Chyba ten zachód. Co to będzie, gdy Ludwik zajedzie z inną? Jak on się Stefce pokaże na oczy? Bo grunt gruntem, ale człowiek człowiekiem.

Jeden Piotr patrzy na tę sprawę inaczej. Już do Ludwika nie ma żadnego żalu. Synowa udała się mu w całości. Tym bardziej, że przyniosła z wesela cały węzełek różności i obiecała przysłać tytoniu. Oczywiście, gdy się już jako tako na tym Śląsku zagospodarzą. Więc stary przedkłada sąsiadom, że Ludwik tak postąpił, jak mu lepiej pasowało.

A jeśli o Stefkę chodzi, to także nie ma się co przejmować, bo ona znajdzie sobie tam innego. Czy mało kawalerów jedzie na Śląsk na zwiady? Więc gdy taki grunt sobie już upatrzy, nie musi wracać, ale rzeknie dziewczynie dobre słowo i już wesele. Potem zaraz zapisy, zaraz wprowadziny do swojego. I ani się nie spodzieje, kiedy wielkim gazdą zostanie. Ile to wieków ludzie czekali na taką okazję?

IWAN: Dajcie mu dobrego konia... (do Grjasnoja:) **A ty oddasz mu to, co mu odebrałeś..** (Idzie do swego namiotu).

GRJASNOJ: Panie, przecież on jest i bez tego ponad wszelką miarę zadowolony... (Wyciąga spoza pasa i wyjmuje z kieszeni nóż, sztylet, pas ze złotymi spinkami i woreczek z pieniędzmi). **Masz, bierz, to jest twoje... A to też chyba jest twoje... Ale to jest moje... A to też jest moje.. Chodź...**

Znów odgłos kopyt końskich i krzyki. Prędko wchodzi MŚCISŁAWSKI w kolczudze, podartej narzutce, z odkrytą głową.

IWAN: Zjawiłeś się?

MŚCISŁAWSKI: (pada przed nim na kolana). **Przynoszę ci swoją głowę...**

IWAN: Mało. Cóż mam począć z twoją głową?

MŚCISŁAWSKI: Jednak mnie jest tylko jeszcze ciężarem, panie!

IWAN: Podnieś Moskwę z popiołu! — Osusz łzy ludności rosyjskiej, którą powleczono w niewolę, obudź znowu zabitych.

MŚCISŁAWSKI: Jestem winny.

IWAN: Uczyniłeś Chanowi wolną drogę?

MŚCISŁAWSKI: Tak, ja.

IWAN: Na jakie mam cię skazać kary? Jakie męczarnie mam dla ciebie wymyśleć? Czy mam cię uwiązać na gałęzi, twarzą do płonącej Moskwy, ażebyś patrzał na dzieło twego sumienia, dopóki kruki nie wydziobią ci oczu?

MŚCISŁAWSKI: Jestem gotów ścierpieć te męki, panie...

IWAN: (chwyta go pod włosy, odchyla głowę jego w tył i w osłupieniu patrzy mu w oczy). **Co ty jesteś za człowiek — krew z mojej krwi?**

MŚCISŁAWSKI: Pytaj, pytaj... to ja odwołałem przednią straż pod Rjazań... To ja zwinęłem straże na drodze na Krym... To ja kazałem ustąpić z Dzikiego Stepu... Mustafa porozumiał się ze mną... Chan obiecał mi pismo lenne na wielkie księstwo... Dusza moja posępna jest ze zgryzoty. Moja żona, dzieci i wnuki zostały żywcem spalone na moim dziedzińcu w Moskwie.. Ja będę płonął we wiecznym ogniu, w najgłębszej piekła otchłani... — Wielki władco, rozraduj mnie mękami ciała...

IWAN: (do Maliuty) **Nie wiem, co z nim uczynić.**

MALIUTA: Poślij go do wojska, niech walczy na śmierć i życie. Tatarzy znają jego oblicze... Mścisławski będzie dla Tatarów postrachem..

IWAN: (ogląda się szukając za Kasjanem. Ten nadbiega z latarką i siada). **Pisz... „Ja, Iwaszko Mścisławski, sprzeniewierzyłem się wierze w Boga, świętemu kościołowi i całemu prawowiernemu chrześcijaństwu... Zdradziłem mojego władcę i cały ruski kraj. Sprowadziłem Chana Krymu, Dewlet Gireja... Co pod świętą przysięgą pisemnie potwierdzam na wieczną hańbę mojemu rodowi...“** (Do Maliuty, pokazując na Mścisławskiego:) **Niech przyjdzie doń z krzyżem duchowny...** (Idzie na stronę, opiera się ramionami o jeden z wozów i patrzy na pożar).

MALIUTA i MŚCISŁAWSKI sadowią się obok Kasjana. Mścisławski powtarza Kasjanowi słabym głosem słowa cara.

MŚCISŁAWSKI: Ja, książę Iwan Mścisławski, stwierdzam na piśmie pod przysięgą...

IWAN: (patrzy na pożar). **Gore, gore. Trzeci Rzym. Powiedziane jest, że do czwartego nie dojdzie... Gore i nie wygore, wieczny pożar, nieugaszony ogień.. Patrzcie, oto jest Rosja, ojczyzna ludzi.**

Spolszczył **Wiktor Stanisławski.**

Franciszek Szymiczek

Tradycja wrocławska

Niedawno temu wpadła mi do ręki książka niemiecka pt. Studentisches Festbuch zum 100jährigen Jubiläum der Universität Breslau. (Wrocław 1911. stron 198), w której osobny rozdział poświęcony stowarzyszeniowym sprawom przy uniwersytecie wrocławskim (str. 115—129) zawiera spis 122 przeróżnych stowarzyszeń akademickich istniejących w okresie 1811—1911. Spis ten nie jest kompletny, a jednak stanowi on dla nas w tej chwili ważny materiał o dawnym życiu akademickim w Wrocławiu, zwłaszcza o dawnym polskim życiu akademickim przy tej uczelni. Wśród starszego pokolenia polskiego świata akademickiego spory procent stanowią studenci wrocławscy, którzy zrzeszeni w stowarzyszeniach polskich, niejednokrotnie współcześnie, w szczególności zaś w okresie lat przełomowych 1918—1922 odegrali rolę decydującą w dziejach Narodu. Tacy np. działacze narodowi na Śląsku, jak Konstanty Damroth, dr. Józef Rostek, ks. Aleksander Skowroński, ks. Paweł Brandys, Wojciech Korfanty i inni — toć to przecież wychowankowie uniwersytetu wrocławskiego. Co prawda uniwersytet wrocławski podówczas był jeszcze niemiecki i studentom-Ślązakom raczej szkodził, ale chętni i dobrej woli zrzeszali się w różnych stowarzyszeniach polskich, które niejeden surowy kruszec przekształciły w najszlachetniejszy metal. Dlatego też Antoni Karbowiak pracę swoją pt. „U źródeł odrodzenia narodowego na Śląsku Górnym (Kraków 1908, rocznik IV. „Świata Słowiańskiego“) słusznie tak, a nie inaczej nazwał, gdyż on już odczuwał doniosłość owej chwalebnej tradycji wrocławskiej. Właśnie ów Wrocław, w którego murach powstawały i znikały różne stowarzyszenia polskie akademickie, legalne i nielegalne, wychowywał taką młodzież polską, która, aczkolwiek nieliczna, pracowała za miliony współrodaków i przyczyniła się do ostatecznego utrwalenia polskiego stanu posiadania na Zachodzie. Spróbujmy zatem w porządku chronologicznym zapoznać się z owymi polskimi stowarzyszeniami.

1. **Polonia**, korporacja, barwy czerwono-białe, istniała już przed rokiem 1822. Później zawieszona, rozwijała się powtórnie w latach 1830—31. Rozwiązana została w roku 1831 za udział większości jej członków w Powstaniu Listopadowym.

2. **Towarzystwo Literacko-Słowiańskie**, — najwybitniejsze ze wszystkich polskich stowarzyszeń, powstało w 1836 roku. W ciągu 50 lat swego istnienia zdołało ono wychować w duchu narodowym ponad 900 członków ze wszystkich dzielnic polskich, wśród nich spory zastęp młodzieży śląskiej (Szafranek, Damroth, Gregor, Rostek i in.). Adam Asnyk i Jan Kasprowicz zaliczali się również do czynnych członków tego Towarzystwa. Członkami, kuratorami i zarazem przyjacielami Towarzystwa byli profesorowie uniwersyteccy: Purkyne, Gitzler, Cybulski oraz słynny Władysław Nehring. Towarzystwo to zostało rozwiązane przez rząd pruski w 1886 roku wraz z innymi polskimi stowarzyszeniami i niestety nigdy już nie miało powstać.

3. **Kółko Towarzyskie Wrocławskie Akademików Narodowości Polskiej** — założone w 1869 roku, skupiało w sobie młodzież z Wielkopolski i Pomorza. Uległo rozwiązaniu w 1886 rku.

4. **Towarzystwo Medyczne** — założone w 1880 roku, skupiało w sobie młodzież z wszystkich trzech zaborów. Rozwiązane zostało w 1886 roku.

5. **Towarzystwo Polskich Górno-Ślązaków** — założone w 1863 roku przez grono teologów wrocławskich, było zrzeszeniem studentów teologii katolickiej, pochodzących ze Śląska Górnego. Statut z 1866 roku głosił, że celem Towarzystwa jest uzupełnienie wiadomości z języka polskiego przez ćwiczenia gramatyczne i konwerzację. Do czynniejszych członków tegoż Towarzystwa należeli: Józef Matischok, Konstanty Damroth, Rudolf Lubecki, Jan Studziński, Wilhelm Kloske, Antoni Pendziałek i inni. Towarzystwo Polskich Górno-Ślązaków rozwiązało się samo w roku 1876 na skutek rozproszenia się teologów śląskich po innych uniwersytetach niemieckich a nawet austriackich (okres „walki kulturnej“).

6. **Towarzystwo Górnośląskie** — założone w 1880 roku, przez pełnych sześć lat rozwijało się bardzo pięknie, a owoce jego działalności były „błogie i obfite“. Zdaniem wielu znawców historii Śląska Towarzystwo Górnośląskie wywarło decydujący wpływ na odrodzenie narodowe na Śląsku. Do jego czynniejszych członków (i zarazem późniejszych działaczy narodowych) można zaliczyć: dr. Józefa Rostka, dr. Tomasza Drobnika, ks. Józefa Gregora, ks. Antoniego Pendziałka, dr. Wincentego Tetzlaffa, ks. Józefa Katrynioka oraz ks. Aleksandra Skowrońskiego. Jako „niebezpieczne“ pod względem politycznym dla całości Prus zostało ono 1886 roku jako jedno z pierwszych polskich stowarzyszeń rozwiązane.

7. **Czytelnia Akademików Polaków** — założona w 1884 roku, była stowarzyszeniem międzyzwiązkowym i miała na celu prowadzenie wspólnej czytelni i biblioteki dla kilku zrzeszonych towarzystw polskich. Czytelnia została również w 1886 roku rozwiązana.

8. **Polsko-katolickie towarzystwo teologiczne im. Hozjusza** (Societas Hasiana) — istniejące w latach 1884—1886 skupiało w sobie studentów teologii katolickiej, pochodzących z różnych prowincji pruskich.

9. **Towarzystwo Akademików Górnoślązaków** (T. A. G.) — założone w 1892 roku przez ośmiu studentów wrocławskich, było chyba najbardziej bojowym stowarzyszeniem polskim w Wrocławiu owych czasów. Oficjalna nazwa Towarzystwa brzmiała „Wissenschaftlicher Verein oberschlesischer Studenten“, ale pod tą nazwą skupiało się grono młodzieży akademickiej, która tu otrzymała wychowanie wysokiej wartości. Pod tą pokrywką nazwy niemiec kiej wychowano tu największych i najdzielniejszych synów ludu śląskiego, którym przypadło w udziale poprowadzenie swoich współrodaków do Macierzy. A więc: ks. Paweł Brandys, ks. Józef Jagło, ks. Władysław Robota, ks. Marcin Pancherz, ks. Mateusz Bielok, Jan Kowalczyk, dyr. Piotr Hylla, Wojciech Korfanty, Konstanty Wolny, Brunon Kudera — oto postacie sztandarowe wielkiego ruchu odrodzenia narodowego od roku 1902, a następnie działacze w czasie plebiscytu i powstań śląskich, a zarazem członkowie Towarzystwa Akademików Górnoślązaków. Towarzystwo zostało rozwiązane w 1899 r.

10. **Stowarzyszenie Akademików „Concordia Vratislaviae“** — założone w 1885 r. — zdołało uniknąć rozwiązania w r. 1886 przez sprytne, zewnętrzne zmiany, dokonane w statucie swoim i szczęśliwie przetrwało do 1899 roku, kiedy razem z TAG uległo rozwiązaniu. „Concordia“ skupiała w sobie młodzież poznańską i przeżywała różne okresy rozwoju. Blisko likwidacji w 1891 roku, potrafiła jednak „Concordia“ zwyciężyć kryzys wewnętrzny i wkrótce wielką rozwinęła działalność. Szczególnie żywą działalność wykazała „Concordia“ z chwilą zawiązania kartelu z Tow. Akadem. Górnośl. w 1898 roku, niestety okres świetności trwał zbyt krótko.

11. **Kółko Polskie** — powstałe w 1894 roku w książęco-biskupim konwikcie teologicznym, tylko tam prowadziło swoją działalność wśród mieszkańców konwiktu. W ciągu swoich 12 lat istnienia „Kółko“ wychowało cały szereg kleryków na księży narodowo uświadomionych, którzy w późniejszym swym duszpasterstwie niejednokrotnie mieli oddać wielkie usługi ludowi śląskiemu. Dość wymienić kilka księży, jak: Wilh. Buchtę, Józ. Czempiela, Leopolda Jędrzejczyka, Alojzego Koziełka, Aug. Koźlika, Jana Niedzielę, Wawrzyna Puchera, Stan. Wilczewskiego i Józ. Zachłoda — aby sobie uprzytomnić rolę i znaczenie Kółka Polskiego, które podówczas jeszcze istniało jako jedyne legalne stowarzyszenie polskie we Wrocławiu. Dopiero w 1906 roku zostało ono rozwiązane przez kardynała Koppa i to dopiero po ostrych atakach niemieckich szowinistów (m. inn. sporo księży) na Kółko i samego kardynała.

Po roku 1906 polskie życie akademickie oficjalnie nie istniało. Zato jednak tym żywiej rozwijało się ono pod ziemią, w konspiracji, nielegalnie. Teolodzy — Polacy zrzeszają się w tajne kółka w konwikcie, a studenci świeccy czynią to samo „na mieście“, przy czym łączność pomiędzy obu grupami ani na jeden dzień nie uległa przerwie. Pracują nawet bardzo ściśle i tajne kółka, jak np. „Zet“, którego członków usiłowała, zresztą bezskutecznie wykryć w czasie ostatniej wojny „Gestapo“. Kółka i ich zarządy pracują intensywnie na indywidualnym i zbiorowym „obrobieniem“ swych członków i sympatyków, a ci po ukończeniu studiów wsiąkają w teren, by tam pracować jeszcze intensywniej nad urobieniem ludu śląskiego. Wreszcie spotykają się wszyscy znowu na pobojowiskach powstań górnośląskich i w akcji plebiscytowej, by tam z konkretnym już wynikiem pracować dla wielkiej sprawy, jaką była walka czynna o przyłączenie Śląska do Polski.

Listy z Polskiego Zachodu

Przechadzki szczecińskie

Szczecin, w kwietniu

Szczecin wciąż jeszcze żyje atmosferą niedawnych uroczystości: z satysfakcją wspomina się doskonałość organizacji i ciągle jeszcze plotkuje się trochę na temat pewnego incydentu, który nieco zakłócił harmonię spektaklu.

Szczecinianiacy z dumą obnoszą w butonierkach znaczki pamiątkowe: „Trzymamy Straż nad Odrą“.

Nie będę opisywał przebiegu uroczystości, bo nie to jest najważniejsze (zresztą sprawozdania były w całej prasie) — zacytuję tylko rozmowę z pewnym dziennikarzem zagranicznym:

— Ciekawym, ile to kosztowało?

Ktoś z grubsza zaczął obliczać:

— No, plus minus, sześć milionów...

— Czy w waszej sytuacji nie są to pieniądze wyrzucone? Bądź co bądź, sumę tę, chociażby właśnie w Szczecinie, konkretniej można było zużytkować...

Ja myślę, że pieniądze te nie były wyrzucone.

Przez tych kilka dni o Szczecinie mówiła cała Polska — i nie tylko Polska — właśnie o to chodziło: przypomniano światu, że **Szczecin był, jest i będzie polski**, a każdy Polak dowiedział się, jaką rolę Szczecin może odegrać w odbudowie naszego życia gospodarczego — za tym i w odbudowie całego kraju.

Szczecin — to oczywiście port (którego, na razie, oddano nam nie wiele i w stanie wymagającym przygotowania do przyjmowania ładunków czy załadowywania).

W każdym razie — krok naprzód, zwłaszcza, że Prezydent Bierut powiedział, iż **z wiosną otrzymamy już cały port.**

Żeby zrozumieć rolę Szczecina w naszym życiu gospodarczym — wystarczy spojrzeć na mapę: Odrą wiąże się on ze Śląskiem, a Notecią i Wisłą z całym krajem.

Szczecin, to nie tylko punkt końcowy szlaku wodnego dla produktów kopalnianych i przemysłowych Śląska Górnego, czy płodów ziemnych Śląska Dolnego — ale (i przede wszystkim) to droga dla tranzytu czeskiego.

Przed wojną Szczecin obrotami dorównywał Gdyni, a przewyższał Gdańsk. Odra powyżej Szczecina (aż do Gliwic) jest dostępna dla statków sześćset tonowych.

W związku z przeładunkiem zboża i mąki (wobec zniszczenia elewatorów gdańskich), a w obliczu oczekiwanego, dużego przywozu, rola Szczecina wzrasta: posiada on magazyny (jedne z największych w Europie) o pojemności 65 tysięcy ton. Dodajmy do tego doskonałe, pod względem położenia, warunki komunikacyjne: oparte zarówno na sieci kolejowej jak i wodnej śródlądowej, plus doskonałe autostrady — a jasnym się stanie, jak pilnym i ważnym problemem jest całkowite przejęcie i wyzyskanie portu.

„Aby uwierzyć w wartość Ziem Odzyskanych, aby zrozumieć powrotną falę historii, aby wyczuć tempo polskie, poczynające bić coraz normalniej, tu, na zachodzie państwa, trzeba — poprzez ruiny dostrzec człowieka“.

Słowa te wypowiedział Delegat Rządu do Spraw Wybrzeża — inż. Eugeniusz Kwiatkowski.

Właśnie poprzez człowieka spojrzymy na Szczecin w następnej korespondencji.

Na zakończenie podamy jeszcze kilka dat ważnych dla historii pierwszego roku w Szczecinie — znów polskim:

27 kwietnia 1945 r. — Szczecin zostaje zdobyty przez wojska radzieckie i polskie.

28 kwietnia 1945 r. — Przybywa pierwsza reprezentacja polskich władz administracyjnych.

3 maja 1945 r. — Pierwsze święto narodowe w wyzwolonym Szczecinie.

3 sierpnia 1945 r. — Radio ogłasza: „Konferencja w Poczdamie uznała granice państwa polskiego“.

27 lutego 1946 r. — Pierwszy zorganizowany transport wysiedlonych Niemców opuszcza Szczecin, udając się do brytyjskiej strefy okupacyjnej.

24 marca 1946 r — Przejęcie przez władze polskie części portu szczecińskiego na Dolnej Odrze.

Stanisław Ostrowski

Z listów do redakcji

O korektorach i autorach

Wieś chłonie prasę literacką, co przysparza radości wielu literatom, krytykom i tym wszystkim, którym oświata wsi leży na sercu. Słusznie. Kiedyś radowało się „Odrodzenie“, iż dociera na najdalsze peryferie Polski i często zastępuje młodzieży szkolnej podręcznik języka polskiego. Także słusznie.

Ale jedno życzenie. Do wszystkich pism, które mają pretensje do tego, by być na prawdę na poziomie. O zwrócenie baczniejszej uwagi na korektę. By w „Przekroju“ nie znajdowało się w dwóch sąsiadujących ze sobą wierszach — raz „spod“ i raz „z pod“, raz „wzamian“ a raz „w zamian“ — itd. By w „Kuźnicy“ (Nr. 3) nie było mowy o „Głupim Jakóbie“, lecz o „Głupim Jakubie“. Wprawdzie w latach 1936/37 widziało się przy wielu tytułach artykułów „gwiazdeczkę“, która wyjaśniała: „ortografię zachowuje się na żądanie autora“, ale dziś już mamy rok 1946 i wiemy wszyscy, że ten „bunt młodzieży“, przepraszam — literatów — nic nie dał. Wątpię także, by takiego „Jakóba“ żądał Kott w swej recenzji. Zresztą redakcja nie „zabezpieczyła sobie tytułów“ — „gwiazdeczką“.

Czy te uwagi są naiwne i czy są wywołaniem burzy w szklance wody? Dla nauczyciela-polonisty na przykład w żadnym wypadku. Dla tego nauczyciela, któremu jakiś licealista tłumaczy, iż podkreślone w zeszycie błędy są rezultatem lektury. Lektury pism poleconych przez tegoż właśnie polonistę. Kto winien? —

Z tym wiąże się sprawa druga. Równie ważna. Wolno redakcjom zamieszczać artykuły w rodzaju „O formy świeże...“ (Piotrowskiego, Odrodzenie Nr. 52). Uśmieje się z tego czytelnik, uśmieją się inni redaktorzy. Ale nikt się nie będzie śmiał ze zdania: „My już nie jesteśmy takie dziecko. My jesteśmy Sierotka Marysia“ (recenzja teatralna T. Brezy w Odrodzeniu Nr. 54). Lub: „Trudno kogokolwiek od tego odmawiać“ (tamże). Nie piorunuję tu ze specjalną satysfakcją na „Odrodzenie“, jestem stałym i zapalonym jego czytelnikiem. To tylko przypadkowy dobór „gromów“. To dotyczy wszystkich pism. Zresztą proszę: „Czy nie należało je odpędzić i sprawdzić, czy...“ (Fragment „Ukrytych“ H. M. Dąbrowolskiej, Życie Literackie 11/12. Tamże: str. 7 lewa, wiersz 23 — „w koło“ i str. 8 lewa, wiersz 51 — „wkoło“). —

Poprzednimi cytatami biłem w p. Brezę. W autora, którego pamiętamy jako dobrego prozaika, znającego polski język. Cóż za powód zmiany? Czy rezygnacja z dotychczasowych ambicyj stylisty? Obyśmy nie musieli powiedzieć językiem p. Brezy: Panie Breza, pan nie jest polski pisarz, bo pan nie zna polski język. —

Tyle wystarczy. Wnioski? Więcej myśleć o tym, przez kogo się jest czytanym! Pomyłki ważniejsze prostować w następnym numerze. Ewentualnie zmienić korektora. Tempo i warunki pracy nie usprawiedliwiają zespołów redakcyjnych.

Tyle od „naiwnego“ nauczyciela-polonisty. Od spowiednika uczniów.

Prof. Kr. (Sosnowiec).

Sprawy teatru

Z Opery Śląskiej

Młode talenty śpiewacze i młodzieńczy zapał nieodżałowanej pamięci Adama Didura stworzyły na Śląsku operę.

Katowice, Bytom, Chorzów, Zabrze, Siemianowice, Bielsko, Częstochowa, a wkrótce i Koźle za Odrą — oto zakres jej kulturalnego oddziaływania.

155 przedstawień w ciągu 10 miesięcy, a w tym aż 82 wieczory z polską „Halką“, to imponujący wyczyn artystyczny, a na ziemiach tych także i propagandowy. Zainteresowanie operą bardzo wielkie. Olbrzymia większość przedstawień to komplety na widowni, a frekwencji poniżej 75 proc. młode kroniki operowe nie notowały jeszcze.

Po „Halce“, „Tosce“, „Rycerskości wieśniaczej“, „Pajacach“ i „Traviacie“ Opera Śląska, której dyrekcję po śmierci Adama Didura objął cieszący się wielkim poważaniem dla znajomości zagadnień operowych i talentu pedagogicznego Stefan Belina-Skupiewski, powiększyła obecnie repertuar egzotyczną „Madame Butterfly“ G. Puccini‘ego.

Przygotowana bardzo starannie, otrzymała Madame Butterfly niezwykle, w porównaniu z dotychczas wystawianymi operami, bogatą oprawę kostiumową i dekoracyjną. Łącząc w całość piękne, młode i świeże głosy z tak staranną szatą zewnętrzną dała Opera Śląska próbę tego, co przy zabezpieczeniu koniecznych jej potrzeb, pod dobrym kierownictwem dać potrafi. Ponoć dotychczasowe skromne subsydia rządowe mają być w najbliższym czasie powiększone do rozmiarów istotnych potrzeb tej tak potrzebnej ze względów kulturalnych, reprezentacyjnych, a nawet na terenach tych także i prestiżowych instytucyj. Społeczeństwo śląskie z największym zainteresowaniem i sympatią śledzić będzie dalsze losy swojej opery.

Główne role w Madame Butterfly otrzymały obsadę podwójną: Cho-Cho-San (Madame Butterfly) — W. Calma i Z. Czepielówna. Suzuki — Fr. Słoniewska i A. Kawecka, wreszcie porucznik Pinkerton — L. Finze i F. Arno. W obsadzie premierowej Madame Butterfly śpiewała **Wiktoria Calma.** Znakomita szkoła Adama Didura z pięknego z natury głosu artystki zrobiła szlachetny i cenny instrument. Instrumentem tym dla osiągnięcia pełnego efektu artystycznego, Calma umie posłużyć się właściwie. Doskonałe opanowanie partii pod względem wokalnym, muzycznym i aktorskim, w połączeniu z wielką dozą szczerości i uczucia dało postać żywą, czarującą nie tylko, właściwym Calmie, pięknem jej młodego głosu, lecz także budzącą w widzu sympatią i współczucie dla ludzkich cierpień bohaterki.

Również pierwszorzędną jako Suzuki, w typie, w sytuacjach, w charakteryzacji, no i przede wszystkim pod względem muzycznym i wokalnym okazała się **Franciszka Słoniewska.** Jej pełny, o pięknej barwie dramatyczny mezzo-sopran zrobił jak najlepsze wrażenie.

Lesław Finze, również uczeń A. Didura, jest dziś jednym z bardzo nielicznych w Polsce, bodajże najlepszym tenorem operowym. Słabszym nieco w dole skali, miękki, o pięknej barwie w średnicy i świetnie brzmiący w górze głos ten, sądząc z dotychczasowych występów, ma jak najlepsze widoki na poważną karierę śpiewaczą. Pinkerton w ujęciu Finzego bardzo dobry od strony wokalnej i muzycznej, wymagałby pewnej korekty strony aktorskiej. Zbyt cyniczna rozmowa jego z konsulem w akcie I. i takież ustosunkowanie się do młodocianej narzeczonej, nie są sytuacyjnie usprawiedliwione. Poza tym mimika, ruchy i ogólna postawa za bardzo przypominają Finzego z innych, poprzednich ról.

Andrzej Hiolski, w roli konsula, raz jeszcze zasłużył na słowa uznania dla wielkiej swobody aktorskiej, kultury i muzykalności w interpretacji oraz dla pięknie brzmiącego barytonu.

Bardzo żywą i charakterystyczną postać usłużnego i chytrego Goro stworzył zawsze interesujący aktor i dobry śpiewak Adam Dobosz.

Nie wielką, lecz dobrze wykonaną rolą i dobrym materiałem głosowym zwrócił na siebie uwagę młody W. Lwowicz. Zupełnie dobrymi były również pozostałe role epizodyczne. Kate Pinkerton — **O. Szamborowska,** Bonzo — **E. Pawlak** oraz komisarz — **St. Dobiasz.**

Chóry w akcie pierwszym czyste i pięknie brzmiące stanowiły ponadto malowniczą grupę. Orkiestra operowa pod batutą **J. Sillicha** coraz jest lepsza, wciąż jednak jeszcze, szczególnie w porównaniu z bardzo dobrą obsadą solistów śpiewaków, jest punktem najsłabszym Opery Śląskiej.

Piękne dekoracje i stylowe urządzenie wnętrza W. Fedorskiego bardzo podniosły efekt przedstawienia operowego. W całości uznać należy Madame Butterfly za rzecz godną widzenia. Spodziewać się też należy, że osiągnie całkowite i zasłużone powodzenie.

We wtorek, 23. IV. br. wystąpiła gościnnie w „Tosce“ **Olga Didur.** Wrażenie chłodu oraz wyczuwalna w głosie i grze aktorskiej powściągliwość w akcie pierwszym, ustępowała stopniowo w akcie drugim, dając miejsce prawdzie i uczuciu, aby wreszcie w akcie trzecim, w scenach końcowych osiągnąć pełnię ekspresji i siły dramatycznej. Tosca Olgi Didur ciekawa muzycznie, nie zawsze głosowo zdobywała się na wysiłek, w jakim stawiały ją sytuacje zespołowe i nasilenie dźwiękowe orkiestry. Wydaje się, że śpiew estradowy bardziej obecnie odpowiada p. Oldze Didur.

L. Finze w roli Cavaradossi‘ego i A. Hiolski jako Scarpia zbierali i tym razem zasłużone oklaski.

M. Józef Michałowski.

Życie koncertowe Katowic

Życie koncertowe W. Tygodnia przeszło pod znakiem Radia. Omówiony w n-rze poprzednim koncert muzyki religijnej w Filharmonii był pierwszym z cyklu. Drugim poważnym wyczynem muzycznym było wykonanie w Wielki Piątek pięknego dzieła Pergolesiego „Stabat Mater“ z udziałem Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją **Włodzimierza Ormickiego, Ireny Lewińskiej** — sopran i **Emmy Ormickiej** — mezzosopran. Wykonanie całości stało na bardzo wysokim poziomie. Szczególnie Irena Lewińska dzięki poważnej myzykalności, subtelności frazy i nieskazitelnej dykcji, przy ujmującej prostocie, zasłużyła na słowa najwyższego uznania.

Zapowiedziany na Wielki Czwartek filharmoniczny koncert muzyki religijnej niestety nie doszedł do skutku. Bardzo interesująco natomiast przedstawił się wielkosobotni koncert muzyki religijnej, który odbył się w środowisku najbardziej odpowiednim — w jednym z kościołów w Bytomiu. Udział w koncercie wzięli: Stanisław Mikuszewski — skrzypce, młody wirtuoz organowy Władysław Oćwieja i artysta Opery Śląskiej — Jan Malec — baryton.

Na czoło wykonawców wysunął się zdecydowanie **Stanisław Mikuszewski.** Pełnobrzmiący, piękny, pełen spokoju i powagi ton jego skrzypiec, szlachetna fraza, absolutna czystość i niezawodna technika w wykonywanych utworach zrobiły na słuchaczach głębokie wrażenie.

Władysław Oćwieja, utalentowany entuzjasta zaniedbanej u nas i jakby wstydliwie na uboczu wegetującej muzyki organowej wykonał Vivaldiego — Bacha koncert organowy a-moll, Liszta fantazję choratową c-moll oraz Toscatę e-moll Callaert‘sa wykazując w nich obok wysokiej klasy techniki palcowej i pedałowej także najistotniejszą umiejętność, bez której najlepsza muzyka organowa staje się bezbarwną, mianowicie umiejętność operowania „głosami“, różnorodnością barw, słowem, swoistą, bardzo skomplikowaną instrumentacją organową.

Żałować należy, że mając dobre instrumenty i dobrych organistów nie możemy mieć dość często dobrych koncertów muzyki organowej. Natomiast największe w Europie organy o niespotykanej liczbie 224 głosów i najnowocześniejszych urządzeniach technicznych (przeciętnie organy mają około 30 głosów) znajdujące się w t. zw. „Hali stuleci“ (Jahrhundertshalle) we Wrocławiu bezużyteczne i jak słychać nie zabezpieczone nawet należycie (skarb to wielomilionowy!) marnują się, podczas gdy nasze filharmonie świecą pustkami, a konserwatoria nie mają nawet odpowiednich instrumentów do studiów.

Jan Malec w omawianym koncercie odśpiewał pięknym głosem, z wielką muzykalnością i dobrym wyczuciem stylu szereg utworów muzyki kościelnej.

Publiczności, mimo niedostatecznej liczby ogłoszeń na mieście — dość dużo. Koncert transmitowały wszystkie rozgłośnie polskie. **M. Józef Michałowski.**

Rozstrzygnięcie konkursu na 25-lecie III Powstania Śląskiego

Komitet Budowy Pomnika Czynu Powstańczego podaje do wiadomości wyniki konkursu ogłoszonego na prace naukowe, utwory literackie i muzyczne w związku z rocznicą powstania śląskiego.

1) Konkurs na przyczynek naukowy wzgl. materiały o charakterze naukowym do dziejów trzeciego powstania śląskiego.

Skład sądu konkursowego: Paweł Dubiel, prezydent m. Zabrza, dr. Józef Feldman, prof. U. J. w Krakowie, dr. Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego, dr. Kazimierz Piwarski, prof. U. J. dr. Ludwik Ręgorowicz, dyrektor Państw. Zakł. Wyd. Szkoln. w Katowicach.

Wpłynęło prac 16.

Nagrodzone prace: 1 nagroda zł. 15.000 — praca pod tytułem: Trzecie śąskie powstanie, godło „Odra II“ — autor: dr. Kazimierz Popiołek, Katowice; nagrodę II i III połączono, przyznając po zł. 5.000 — za prace: tytuł: Prudniczanie w trzecim powstaniu śląskim — godło: „Osoboga“ — autor: Jan Adam Czober, Pszczyna. Tytuł: Pamiętnik górnika powstańca z III powstania śląskiego — godło: „Zabrze“ — autor: Józef Bobrowski, Kończyce, pow. katowicki. Tytuł: Wspomnienia z czasów działalności plebiscytowej III powstania śląskiego — godło: „Amerykanin“ — autor Jan Faska, Chorzów.

2) Konkurs na utwór sceniczny wzgl. widowisko ludowe. Skład sądu konkursowego: mgr. Zbyszko Bednorz, mgr. Zdzisław Hierowski, dyrektor programowy Radia Polskiego, dr. Jerzy Koller, mgr. Julian Lewański, dr. Kazimierz Popiołek.

Wpłynęło prac 10.

Nagrodzono: I nagroda w wysokości zł. 10.000 — tytuł: „Nad Odrą wstaje zorza“ — godło „Elwer“ — autor: Kazimierz Gołba, Katowice.

II nagrody nie przyznano.

III nagroda w wysokości zł. 5.000 — tytuł: „Nie damy Śląska“ — godło: „Radło“ — autor: Władysław Godlewski, Pabianice.

Sąd konkursowy stwierdził, że utwór „Nie damy Śląska“ nadaje się wyłącznie na sceny amatorskie.

3) konkurs na nowele.

Skład Sądu Konkursowego: jak 2).

Wpłynęło prac 11.

Nagrodzono: Sąd Konkursowy nie przyznał nagrody I-szej ani II-giej. Nagroda III w wysokości zł. 2.000 tytuł: „Strażnicy“ — godło: „Górnik 1“ — autor: Helena Płonkówna, Racibórz.

4) Konkurs na wiersz.

Skład Sądu Konkursowego: jak 2).

Wpłynęło prac 40.

Sąd Konkursowy nie przyznał nagrody ani I-szej ani II-giej. Nagroda III-cia w wysokości zł. 1.000 tytuł: „Maj górnośląski“ — godło: „Brzeski“ — autor: Zdzisław Śliwiński, Łódź.

Ponadto Sąd Konkursowy wyróżnił bez wynagrodzenia wiersz pod tytułem „Powstaniec“ — godło: „Uchyt“ — autor Józef Spandel, Rybnik.

5) Konkurs na utwór muzyczny.

Skład Sądu Konkursowego: prof. Ryszard Bukowski, rektor Faustyn Kulczycki, mgr. Julian Lewański, mgr. Józef Ligęza, dyr. Józef Powroźniak.

Wpłynęło prac 10.

Sąd Konkursowy żadnej pracy nie przyznał nagrody, wysunął natomiast propozycję ogłoszenia nowego konkursu z jedną nagrodą na marsz na orkiestrę dętą z uwzględnieniem motywów śląskich.

Autorzy nagrodzonych prac proszeni są o porozumienie się z Komisją Naukową Komitetu Budowy Pomnika Czynu Powstańczego, Katowice, Instytut Śląski, ulica Warszawska 37.

Autorzy pozostałych prac mogą prace swe odebrać w Komisji Naukowej Komitetu do końca maja br.

Książka Ziem Odzyskanych

Informator o podstawach prawno-politycznych rehabilitacji i weryfikacji na Śląsku. Katowice 1945. Polski Związek Zachodni. Stron 80.

Przed kilku miesiącami ukazał się „Informator o podstawach prawno-politycznych rehabilitacji i weryfikacji na Śląsku“, opracowany i wydany przez Polski Związek Zachodni, Okręg Śląsko - Dąbrowski. Jakkolwiek jest to tylko 80 stron licząca broszurka, zasługuje jednak na szczegółowszą wzmiankę.

Broszurka niewątpliwie wypełnia choć w części lukę, jaka istniała dotychczas w tej dziedzinie. Przeznaczona w zasadzie dla szerszego ogółu urzędników i działaczy społecznych, może jednak oddać pewne usługi również osobom na kierowniczych stanowiskach, zwłaszcza osobom nieobeznanym z warunkami terenu śląskiego.

W broszurce znajdziemy króciutki rzut historyczno-socjalny ziem śląskich oraz społeczno-narodowe podejście do klasyfikacji ludności, przy chłodnej, trzeźwej, nieemocjonalnej ocenie stosunków narodowościowych. Znajdziemy w niej wyjaśnienia wielu dotychczas istniejących nieporozumień, oraz rejestr popełnionych błędów i niedociągnięć (vide str. 52). Słusznie podkreślono w broszurce rolę jaką powinni odegrać przy weryfikacji na Ziemiach Odzyskanych członkowie Związku Polaków w Niemczech.

Pewnego sprostowania wymagałaby teza, zamieszczona na stronie 10 broszury, iż Dolny Śląsk zamieszkały jest (pomijając bardzo nieliczne wyjątki) wyłącznie przez ludność niemiecką. Tymczasem również na Dolnym Śląsku znajdziemy większe skupiska ludności zgermanizowanej dopiero w ostatnich dwóch czy trzech pokoleniach. Ludność ta ma równe prawo do weryfikacji co sąsiedzka ludność Śląska Opolskiego, jak to słusznie wyłuszczono w nr 20 „Odry“.

Można by się sprzeczać o to, czy przed wybuchem wojny było na terenie województwa śląskiego 15 proc. zdeklarowanych Niemców, czy też mniej, oraz czy rozwój świadomości narodowej szedł na Górnym Śląsku w parze z rozwojem zamożności i wykształcenia. Nie można się jednak zgodzić z twierdzeniem (str. 16), by **do tej pory** istniało dla Ślązaka tylko samo zagadnienie stosunku osobistego do państwa jako takiego, a nie do form rządu, czy też kierowników polskiej myśli politycznej. Chłop i robotnik śląski zdołał w czasie okupacji wyrobić się politycznie w niemniejszym stopniu — niż ludność innych dzielnic Polski.

Będzie już zadaniem naszych władz państwowych ustalić, czy członkowie wymienionych na str. 61 i 62 organizacji niemieckich mają być weryfikowani tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach, czy też jako liczniejsze wyjątki. Tylko najwyższe czynniki państwowe mogą na podstawie posiadanych, często poufnych wiadomości przewidzieć rozwój sytuacji politycznej Europy i ocenić, „czy czas będzie pracował dla Polski (str. 64). Może za lat 10 czy 20 naród niemiecki lub państwo niemieckie będzie dla weryfikowanych, obecnie chwiejnych elementów jednak już przyciągającą atrakcją.

Sprostować należy, iż sztafety ochronne S. S. nie miały takiego samego charakteru jak S. A. (str. 75). Gdy do S. A. mógł być przyjęty każdy „trójkarz“, to do S. S. przyjmowano wyłącznie Niemców całkowicie oddanych idei narodowo-socjalistycznej i „Fuehrerowi“. Członkowie S. S. byli pewnego rodzaju gwardią przyboczną wodza reżimu, otrzymywali sygnety, byli tatuowani i używani do wykonywania największych zbrodni w charakterze współpracowników Gestapo i S. D.

Wykonanie i druk broszury mógłby być nieco staranniejszy. Styl jest, jak na wydawnictwo popularne, w pierwszych rozdziałach nieco za ciężki. Zato cena broszury jest niska i mimo niedalekiego już uchylenia ustawy rehabilitacyjnej broszura nie straci na aktualnej wartości. **(em)**

„Nie rzucim ziemi“. Czytanka do użytku kursów dla dorosłych na Ziemiach Odzyskanych. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1946. Str. 272.

Wiele złożyło się przyczyn na to, że starsza młodzież pragnie dokształcać się, uzupełnić swe wiadomości. Na Śląsku powstała z tego względu duża ilość kursów dla dorosłych, na których uczą się języka polskiego, historii i wiedzy o kulturze polskiej. Dla tych właśnie kursów przeznaczony jest podręcznik pt. „Nie rzucim ziemi“, ułożony przez Komisję Wydziału Kultury dla Dorosłych przy Kuratorium Okręgu Śląskiego w Katowicach. Na książkę składają się cztery cykle, które odnoszą się do historii Polski, jej krajobrazu, mówią o najważniejszych dziełach uczonych i artystów polskich oraz obrazują, jak przez walkę i mękę naród doszedł do wolności. Część historyczna — to obrazki odnoszące się do najważniejszych faktów z dziejów Polski z uwzględnieniem walk narodu polskiego z naporem niemieckim. Wiele artykułów odnosi się do historii Śląska, Pomorza i Mazurów Pruskich. W krótkich opisach różnych krain przedstawiono wiadomości z geografii Polski. Nieco inaczej omówiono twórczość uczonych, pisarzy i artystów polskich, bo przeważnie w formie życiorysów. Okres dziejów narodu w czasie wojny i po odzyskaniu wolności przedstawiono w większej części na podstawie wyboru materiałów. Myślą przewodnią książki jest motyw „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“, motyw, który budzi tak mocne i zdrowe uczucia patriotyczne, wytwarza podstawę nieugiętego wysiłku do walki z germanizmem.

Z książki może korzystać zarówno nauczyciel jak i uczeń, dlatego w podręczniku są wyjątki trudniejsze i łatwiejsze. Różnorodność poziomu tłumaczy się i tym, że przygotowanie uczestników kursów nie jest jednakowe. Charakter czytanek posiada również dużą rozpiętość. Jedne z nich to krótkie rozprawki, artykuły, wyjątki z dzieł naukowych, inne to sprawozdania z przeżyć, opowiadania, wiersze oraz wyjątki z najwybitniejszych pisarzy polskich. Zbiór tych utworów jest trafny i celowy. Autorzy wykazali dużo staranności, by czytanki wyraźnie odzwierciadlały zasadnicze myśli podręcznika jak również, by miały właściwy poziom artystyczny.

Książka „Nie rzucim ziemi“ zapewne dostanie się do rąk nie tylko uczestników kursów, ale także chętnie przeczytają ją starsi i młodzież w świetlicy lub w czytelni. Może ona spełnić swą rolę nie tylko na Ziemiach Odzyskanych, na które została przeznaczona, ale również w centralnej Polsce. **(St. K.)**

Kalendarz rybacki na rok 1946. Morski Instytut Rybacki. Gdynia 1946. Str. 132; 34 rysunki i plany.

Kalendarz jest przeznaczony dla fachowców, omówimy go tu jednak za dwie prace w nim pomieszczone. Pierwsza to dr K. Jeżowej „Osiedla rybackie nad Bałtykiem“, druga zaś mgra L. Milanowskiego „Polskie porty rybackie“.

Dr Jeżowa daje dokładny opis wybrzeża bałtyckiego z uwzględnieniem ilości znajdujących się na nim osiedli rybackich oraz charakteru historycznego i krajobrazowego poszczególnych partii wybrzeża. Za podstawę obliczenia gospodarstw rybackich wzięła autorka liczbę jednostek pływających licząc się jednak z tym, że niekiedy jeden statek rybacki wyżywi dwie do trzy rodziny. Wędrówkę rozpoczyna autorka od Kamienia, położonego nad morzem na północ od Szczecina, a kończy w osadzie Kulardy na Mierzei. Obliczenia autorki wykazują, że na zachodnim Pomorzu mogą znaleźć pracę i wyżywienie 672 rodziny w 36 osiedlach, na terenie dawniejszego W. M. Gdańska 490 rodzin w 19 osiedlach a dalej na wschód na Mierzei aż poza Elbląg 567 rodzin rybackich w 20 osiedlach. W to nie wliczone są nasze stare osiedla od Helu do Gdyni z 22 ośrodkami rybackimi, do których wraca dawny sprzęt rybacki razem z dawnymi właścicielami. Obliczenia autorki z pewnością w międzyczasie ulec musiały pewnym korekturom mimo to stanowią one cenny materiał do przeprowadzenia nasiedlenia polskiego wybrzeża. Stwierdzamy, ponadto z satysfakcją że praca dr. E. Jeżowej, aczkolwiek jest pracą wybitnie naukową lub naukowo - publicystyczną, jak kto woli — napisana jest wyjątkowo pięknym stylem, ze świetnymi glossami literackimi i historycznymi.

Praca mgra Milanowskiego opisuje polskie porty rybackie. Artykuł ozdobiony jest planami portów rybackich Gdyni, Jastarni-Boru, Helu, Władysławowa, Śpiewowa, Górek Wschodnich i Zachodnich, Łeby, Postominu, Derłowa, Kołobrzegu, Dziwny i Świnoujścia. Artykuł charakteryzuje poszczególne porty rybackie pod względem położenia, wyposażenia i miejsca w polskiej polityce rybackiej.

Tak popularna przed wojną, urosła niemal do problemu „sprawa polskiego szprota“ znajdzie chyba nareszcie rozwiązanie, tak w kontekście gospodarczym i handlowym jak i politycznym. Bo przed wojną sprawa ta miała, wobec technicznych braków w organizacji polskiego rybołówstwa morskiego, również i swój aspekt polityczny. Nie należy zapominać, że jeszcze w roku 1936 na rynku w Gdyni nie można było sprzedać 2 koszów ryby morskiej. Sprzedawało się je natomiast w Gdańsku, i tam też zakupywano wszystko to, co dla rybołówstwa było potrzebne. A Gdańsk był wówczas niemiecki.

Obie prace, wyjęte z Kalendarza Rybackiego, cenne są nie tylko dla fachowców ale dla wszystkich, którzy interesują się odzyskaną linią wybrzeża polskiego.

J. Brzym

Mapa polskiego wybrzeża.

Glossy i notatki

POD ADRESEM M. S. Z.

Sprawa Łużyc, którą dzisiaj zajmuje się już większość opinii polskiej, wypłynęła niestety nie ze sfer świata politycznego, lecz ze sfer świata kulturalnego. I to może ciąży na tej sprawie. Na łamach pism literackich i kulturalnych problem tego, najdalej na zachód wysuniętego narodu słowiańskiego, jakim są Łużyczanie, znajduje należyte naświetlenie, ale nie ma ten problem wciąż jeszcze odpowiedniego, zdecydowanego refleksu politycznego. Literaci robią co mogą, może nawet niebawem udadzą się z prośbą o paszporty na Łużyce, dokąd pragną urządzić zbiorową wycieczkę, ale literaci nie robią polityki. Umieliśmy na forum międzynarodowym poruszyć, nie bez skutku, palące zagadnienie hiszpańskie, czy nie umielibyśmy tego samego zrobić z zagadnieniem Łużyc? Tylko, że Łużyce, graniczące z nami, nie zagrażają pokojowi świata, ale im, Łużycom, zagraża od wieków już ten pokój świata. Giną. Szarpią się i nie mają z nikąd pomocy. Nawet dziś, gdy pokonany wróg leży w prochu u nóg Aliantów.

Niechże nam Pan Minister wybaczy. **(Zby)**

KRÓTKIE SPIĘCIA

Nr. 18 „Odrodzenia", imponującej grubości, zawiera oprócz ciekawych rozważań socjologicznych Sieradzkiego, reportażu z nieznanego nam Krakowa, fabryk i pracy robotniczej — Jarochowskiej i francuskich projektów okupacji Zagłębia Ruhry — Brezy, wspomnienie Pruszyńskiego, o spotkaniu z gen. Andersem, na górze Karmel.

Anders, którego postać budzi zaciekawienie, z jednej strony oczekiwany „oswobodziciel", z drugiej samozwańczy watażka dla lewicy, wygląda następująco: „... wysoki, postawny, o młodzieńczych, sprężystych ruchach kawalerzysty, piersi pokrytej orderami, surowym wyrazie, przystojnej, bardzo męskiej twarzy, otoczony nimbem dowódcy, musiał wywrzeć wrażenie".

Tak się rysuje sylwetka, raczej pociągająca, ale gdy poznamy jego charakter, to zaraz przypomną nam się najgorsze tradycje sanacyjne. A więc cechuje go despotyzm, upór i gwałtowność. Brak mu wyczucia rozstrzygnięć politycznych, ten odważny, wielokrotnie ranny dowódca pułku z 39 r., jest bezradny jak dziecko, wobec starych lisów z dyplomacji i daje się powodować grupce karierowiczów, którzy rozbudzają w nim niezdrowe ambicje, lansując go, jako przyszłego dyktatora.

Pruszyński trafnie wykazuje nam niebezpieczeństwo, kryjące się właśnie w osobistym uroku Andersa, który odwołując się do cnót żołnierskich, do przysięgi na wierność, przetrzymuje na wygnaniu tysiące obałamuconych propagandą Polaków.

Anders był zdecydowanym wrogiem porozumienia Sikorskiego z Rosją, stawiał na zwycięstwo Niemiec. Nie rozumiał, że ta garść Polaków, ta dywizja, o którą dopominali się Rosjanie, nie mogła rozstrzygać na froncie, gdzie ścierały się milionowe armie, ale byłaby zaważyła na przyjaznych stosunkach z Rosją, tak, jak zaważyło ujemnie demonstracyjne uprowadzenie wojsk na Bliski Wschód i stworzenie z nich głównego ośrodka, wrogiej sąsiedzkiemu zbliżeniu, dywersji.

Ze wspomnień Pruszyńskiego rysują się wyraźnie te niebezpieczne cechy, typowo kawaleryjskie u Andersa, niezdolność do właściwej oceny sytuacji politycznej, gotowość do zaryzykowania w rozgrywce zarówno siebie, jak i podlegającego mu wojska, wściekła ambicja i uzurpatorskie występowanie w imieniu narodu, zarządzanie Polską emigracyjną, jak własnym folwarkiem. Z portretu tego Anders wygląda na jednego z awanturników w wielkim stylu, konkwistadorów, którzy, choć ich epoka dawno minęła, zawsze mogą liczyć na tych „nieprzejednanych", na malkontentów i spryciarzy, spragnionych szybkiej kariery, a szermujących hasłami ofiarności i patriotyzmu.

Takich nigdy nie braknie.

A teraz druga strona... Los matek i żon, tragedię dzieci, których ojcowie, zastraszeni propagandą, postanowili przeczekać do zmiany zagranicą przedstawia nam Wanda Żółkewska w Nr. 17 „Kuźnicy". Tak, gęste sito cenzury nie pozwala na powiadomienie tych dobrowolnych emigrantów o tym, co się u nas naprawdę dzieje. Nieufnie nastawieni, ojcowie ci, oficerowie zwolnieni z Oflagów, robotnicy wywiezieni do Rzeszy, powstańcy uprowadzeni z Warszawy zdobywają się na heroiczną decyzję i pozostają wbrew tęsknocie i rozsądkowi na wygnaniu. Wyobrażają sobie, że postępują najsłuszniej, pochwalają to, co my tu w kraju, potrzebującym każdej głowy, każdej pary rąk, nazywamy poprostu — dezercją.

Brak troski o wyżywienie, długotrwałe rozleniwienie w obozach, musi degenerować, zresztą samo odcięcie od ziemi ojczystej, wytwarza nastroje, podatne do wszelkich psychoz i histerycznych nastrojów.

Może pisma literackie czasami docierają do emigranckich ośrodków, gdy dowiedzą się z jakimi trudnościami borykają się ich rodziny, jak ciężko przychodzi osamotnionym żonom i dzieciom wywalczyć chleb powszechni, otworzą im się oczy. Może ten głos trafi im do serc, skoro argumenty rozumowe nie mogą ich przywołać.

„Kuźnica" w swoim czasie zamieściła pamflet Żółkiewskiego na obecną młodzież akademicką, zarzucający jej brak żywotności, niechęć do nauki i upolitycznienia. Odpowiedź, obrona odzywa się opieszale. Ale wymowniejsza jest ogłoszona właśnie statystyka przychodni lekarskich dla studentów krakowskich. Jezierska w „Tygodniku Powszechnym" podaje zastraszające cyfry zakażeń gruźliczych, obnaża nędzę akademików. Nie jest winą młodzieży, że utraciła swą żywiołowość, zapał z jakim garnie się do nauki i studiuje w najcięższych warunkach, musi budzić podziw, tylko brak warunków materialnych, mimo zapewnień opieki ze strony K. R. N.-u. walka o minimum egzystencji, zabiera resztę sił i ułatwia penetrację wrogim dokonującej się przemianie hasłom i mącicielom.

W „Odrodzeniu" W. Kubacki, którego perypetie meszkaniowe znamy z dowcipnych listów, pisze „O rzeczach przykrych i zabawnych", o poziomie i mętniactwie toczonych w prasie dyskusyj. Rzeczywiście, namnożyło się u nas publicystów z nieprawdziwego zdarzenia, którzy z jednakowym tupetem zabierają głos w każdej sprawie, od recenzyj teatralnych, do rozważań o polityce Watykanu. (Mam wrażenie, że teraz uzupełniają swą wiedzę, bo „Tyg. Pow." ogłasza właśnie dokumenty, o stosunku Papieża do Polaków w latach wojny.) Natomiast próżno dziś szukalibyśmy oceny, ale właściwej, nieskażonej animozjami partyjnymi, ze świeżo pojawiających się książek. A przecież jakieś obiektywne kryteria istnieją? Właśnie przypomina Kubacki trudnego, ale jakże niezbędnego do poznania dzieła, Ingardena. Są książki, które nie mogą się doczekać na należytą ocenę, z jednej strony nikt nie przykręcił, prawie niebezpiecznego Kurka, gloryfikującego naiwnie polityczny bandytyzm (Panie Szczepański, drugi tom „Janosika" czeka!), z drugiej, tak niewiele się mówi o doskonałej, literacką prozą napisanej powieści Zawieyskiego — „Droga do domu".

Mamy nadmiar krytykujących, a brak nam rzetelnych krytyków. Pojawienie się Macha, witaliśmy z ulgą, gdyż rzadki ten gatunek, tak opornie się rozmnaża. Sam Wyka nie może podołać, książki nieotaksowane rosną w stosy!

Dlatego z przyjemnością przeczytaliśmy w „Dziś i Jutro" próbę analizy Bartelskiego, zresztą niewyczerpującą wszystkich planów, bogatej powieści Zawieyskiego.

Brakuje nam Piwińskiego, Breitera, umilkł Czachowski, uwięziony w Ministerstwie, luka po „Roczniku Literackim" świeci pustką. Naprawdę rzetelna ocena nowości jest pilną potrzebą, choćby tylko, by ułatwić czytelnikowi selekcję lektur zaoszczędzić mu czasu i pieniędzy.

Krytycy i recenzenci atakujcie barykadę nowości!

Aga.

P. S. Kol. Kubacki, to już uboczne pytanie, jestem po prostu ciekawy, czy ostatecznie odbił Pan to okupowane mieszkanie? **Aga.**

Co robią Niemcy

Niemcy w obozach jenieckich potworzyli świadome i zwarte społeczeństwa, rządzone po wojskowemu, a więc w sposób trochę dyktatorski, przygotowujące się do odegrania ważnej roli w życiu niemieckim po rozwiązaniu obozów. W obozie pod Bielefeldem w angielskiej części okupacyjnej, grupującym zbrodniarzy wyjątkowo mocnego kalibru, przeszkala się jeńców na wysokich urzędników ministerianych. Radio niemieckie nazywa to niewinnie: Kurs administracji państwowej. Amerykańskie czasopismo „The Atlantic Monthle" podaje ciekawe uwagi na temat życia i zwyczajów w niemieckich obozach w Ameryce. Nad wszystkim panuje tutaj surowa wojskowa dyscyplina, pieczołowicie zachowywana jest hierarchia, oficerom z dnia na dzień przybywa szczegółów w zakazanych poprzednio dystynkcjach, żołnierze poddawani są wewnętrznemu terrorowi. Tłumaczy się ową „zaostrzoną dyscyplinę" tym, że żołnierz w obozie dla jeńców łatwiej poddaje się zdemoralizowaniu i dezorganizacji, a w interesie amerykańskim leży — jak podają cynicznie niemieccy oficerowie — by w obozach panował idealny porządek a jeniec był posłuszny. To samo pismo donosi o wewnętrznej cenzurze, jaką stosują „sztubowi" podoficerowie w stosunku do podwładnych sobie mieszkańców izby, specyfikując i ewentualnie zakazując czytania przyniesonych do obozu przez władze amerykańskie książek i czasopism. Inne pisma amerykańskie skarżą się na przenikanie z obozów w społeczeństwo amerykańskie sympatyj prohitlerowskich. W Ameryce zawsze duża część społeczeństwa nie wierzyła w zło hitleryzmu, otaczając go sympatią po dziś dzień. Na ten podatny grunt trafia bibuła niemiecka, drukowana nieraz w obozie. Sympatie powiększa karna postawa jeńców, jakże wyraźnie odcinająca się od swobodnej, nonszalanckiej postawy żołnierza amerykańskiego. Niemiec w niewoli amerykańskiej wygląda zresztą cośkolwiek inaczej od Niemca w niewoli polskiej czy rosyjskiej. Tamten dobrze ubrany i świetnie odżywiany, ma czas na knowania, zamysły, naukę. Ten musi pracować, co jest sprawiedliwym wyrokiem losu. To też nic dziwnego, że tamtemu roi się władza, nowa wojna, zwycięstwo.

Kult dla wojska i munduru wojskowego kwitnie w Niemczech nadal. Na łamach pism niemieckich nie pojawiła się zresztą ani jedna karykatura, ośmieszająca choć by tylko jakiegoś generała. W radio niemieckim nie nadano ani jednej audycji, która by wątpiła w cnoty i chwałę żołnierza niemieckiego. Wręcz przeciwnie, śpiewa się wojskowe piosenki z minionej wojny, szerzy się kult munduru wojskowego pod pretekstem szerzenia posłuchu wobec armij okupacyjnych. Wygłasza się wojownicze wiersze, czyta rozkazy dowódców donośną bismarckowską niemczyzną i tylko bardzo ciekawi zauważą, że autorem wiersza jest Anglik lub Francuz, a rozkaz podpisany został i wydany przez amerykańskiego generała. Wszystko to jest zabawną grą, która pasjonuje Niemców: Odkryją nasze zamiary czy nie, zrozumieją nas nasi albo też nie zauważą ukrytego sensu? Jak na razie ukryty sens jest doskonale rozumiany, bo rozmowa dwóch zwykłych Niemców zaczyna się zwykle tak:

— Piękna pogoda, schoenes Wetter, n'wahr?

— Tak, mój syn ma już trzydziestego, oczywiście uzbrojonego.

Podsuchal tę rozmowę korespondent radia paryskiego, podsłuchał zresztą wiele podobnych. Duma z młodzieży, która się organizuje, zbiera, zbroi. Anglicy nie okazują bynajmniej zdenerwowania słysząc o tym wszystkim. Ot, naiwna zabawa smarkaczy, która skończy się w więzieniu. Amerykanie od czasu do czasu wpadają w szał i czeszą cały teren, wyłapując młodych i nie budzących zaufania ludzi. Zdenerwowani są wyraźnie Francuzi. Z naiwnej zabawy młodych chłopców zawsze rodziły się nowe potęgi lub rewolucje. Prawda, daleko jeszcze Niemcom do potęgi, daleko także do jakichkolwiek zbrojnych wystąpień. Wszystko to jednak nie ma na celu efektów doraźnych, wystarczy, że podtrzymuje kraj w patriotycznym podnieceniu, że nie pozwala przestawić się myślom konsekwentnie na nowe tory, że okupantom sprawia kłopot, a zagranicznym teoretykom wychowania narodu niemieckiego ustawicznie miesza plany, definicje i wyniki.

W czasie wojny rozlegał się w Ameryce i Anglii wielomilionowy okrzyk: Germany must perish! Niemcy muszą umrzeć! Dzisiaj z tych samych ust wyrywa się inny okrzyk: Niemcy muszą żyć! „Należy sobie uświadomić, że głód już istnieje — pisze „The Times" — praca Niemców, którzy są zatrudnieni w szerokiej mierze w służbie armii okupacyjnej, już się popsuła i będzie się psuła nadal". Anglicy boją się rozruchów z powodu głodu, a ponieważ mówi się o tym publicznie, więc zwraca się i samym Niemcom uwagę na możliwość wywołania takich rozruchów oraz na polityczne powikłania, jakie mogą po tym nastąpić.

Rosną miasta, odbudowują się i jest rzeczą pewną, że zniszczony Berlin w trudnych bądź co bądź warunkach okupacyjnych odbudowany będzie wcześniej i wspanialej niż nasza Warszawa. Z tym się musimy liczyć. Równie szybko odbudowane zostaną i inne miasta. Wszyscy Niemcy pracują przy odbudowie (w Hamburgu na mocy nowego zarządzenia kartki żywnościowe wydawane będą jedynie tym osobom, które wyniosą z gruzu 100 cegieł poza miasto; w ten sposób planuje się rozbiórkę zniszczonych domów tanio i — szybko, bo w ciągu półtora roku), bezrobocie widoczne jest tylko tam, gdzie niema żadnych zniszczeń. Nieraz już także zwracaliśmy uwagę na odbudowę i wzrost zaludnienia w miastach na wschodniej granicy Niemiec. Frankfurt nad Odrą ma już 55.000 mieszkańców, przyjeżdżają tu z odczytami pisarze i uczeni z Berlina, będzie wychodziła gazeta. Niedaleko granicy polskiej położony Chociebuż, stolica Dolnych Łużyc, otrzymał pozwolenie na założenie Instytutu „zur Grenzlandforschung". Prawdopodobnie ma on zastąpić Intytut wschodnio-niemiecki we Wrocławiu, a więc prace jego leżały by na linii antypolskiej a z pewnością także i antyłużyckiej.

W ogóle granicząca z nami Saksonia wykazuje duże ożywienie w zakresie życia kulturalnego. W Lipsku znajduje się centrala akcji, której zadaniem jest przede wszystkim organizacja życia kulturalnego w miejscowościach pogranicznych, dokąd posyła się specjalnie uzdolnionych ludzi. Francuzi przypuszczają (radio paryskie), że istnieje specjalny fundusz, zajmujący się finansowaniem imprez i obiektów kulturalnych na niemieckim Zachodzie i Wschodzie, rozdawaniem stypendiów w miastach, uznanych za graniczne. Inaczej trudno sobie wyobrazić, by aż 10% młodzieży miasta Zgorzelca, w którym warunki życiowe są szczególnie trudne, mogło studiować na wyższych uczelniach Niemiec.

W Plauen, w którym znajduje się piękny teatr, wygłoszono odczyt na temat „Góra św. Anny w sztuce niemieckiej". Poco komu taki odczyt, skoro Góra św. Anny, pamiątka narodowa polskiego Śląska, jest nasza i skoro istnieją przepisy zabraniające Niemcom pisania lub publicznego mówienia o ziemiach leżących poza granicami stref okupacyjnych. Tak, ale Niemcy swe wschodnie tereny za Odrą i Nisą łużycką uważają jedynie za „polnisches Besatzungsgebiet", polski obszar okupacyjny na który chwilowo nie ma wstępu niemiecka administracja. Mówi się to publicznie i ogłasza na mapach.

W miastach pogranicza otwiera się i kompletuje na nowo **muzea krajowe.** Kto wie, jakie znaczenie miały one przy wychowywaniu młodzieży i każdego Niemca na odcinku historii ziem wschodnioniemieckich, ten z troską jedynie spojrzy na te na nowo powstające muzea. Dekoracyjnie przedstawione tu są stare kłamstwa nauki niemieckiej w odniesieniu do naszych ziem nadodrzańskich. Cenzura okupacyjna na teren muzeów nie wkracza. Króluje tu kłamstwo prehistorii niemieckiej, utrzymuje się tu mit wielkości niemieckiej. W muzeum miejskim w Auer ustawiono mapę podróży Fryderyka Wielkiego po Śląsku i plansze, ilustrujące rozwój miast śląskich z woli i planu tegoż Fryderyka.

Lipsk żyje pod znakiem opery. Wystawiają tu „Don Juana", „Mignon" i „Cavaleria Rusticana". W teatrze zaś idą „Synowie" Heinricha Rossbachera, pierwsza sztuka o reformie rolnej w Niemczech. W Kamienicy saskiej w Wielkim Tygodniu wystawiono „Pasję" Heinricha Schütza, syna miasta, poprzednika Bacha w muzyce religijnej.

Na koniec wiadomość dziwna.

Mianowicie licencję wydawniczą otrzymały wydawnictwa Brockhaus i Bibliographisches Institut, wydający m. in. znany leksykon Mayera. Oba wydawnictwa jednak skompromitowane są mocno współpracą z partią hitlerowską, przez długi czas oba służyły jawnie i publicznie partii. Drobnym przykładem niech będą wydania encyklopedii i leksykonów w czasie od 1933 r. Na licencję także zasłużył sobie weimarski Böhlaus-Verlag. W ten sposób na terenie Niemiec działa w tej chwili **ponad tysiąc firm wydawniczych,** z których zaledwie sto to są firmy nowe, reszta ma za sobą długoletnią tradycję wydawniczą oraz ... działalność wydawniczą, którą także można by podciągnąć pod miano zbrodni wojennych. **(wisz)**

Książka polska na ławie szkolnej

W realizacji celów oświatowych zagadnieniem pierwszorzędnej wagi jest sprawa podręczników szkolnych. Podręcznik szkolny jest narzędziem w warsztatach pracy, jakimi są zakłady mające na celu krzewienie oświaty.

Niemcy — chcąc nas zniszczyć ze zbrodniczą premedytacją rzucili polską książkę na stos — albo przeznaczyli na makulaturę. Zdołaliśmy wiele uchronić przed wrogą zapalczywością niszczenia wszystkiego, co dotyczyło polskiej kultury. Ale mimo tego w odrodzonym państwie szkolnictwo znalazło się w tragicznym położeniu ze względu na brak podręczników.

Władze szkolne zdawały sobie z tego sprawę i wśród pierwszych i najważniejszych swych poczynań postawiły zagadnienie akcji wydawniczej dla celów szkolnych. Ministerstwo Oświaty nie przesądzając możliwości wydawania podręczników przez różne firmy, np. przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, przez spółdzielnię Czytelnik, upoważniło do podjęcia pracy wydawniczej dla celów szkolnych osobną instytucję, a mianowicie Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (P. Z. W. S.).

P. Z. W. S. stanęły przed bardzo trudnymi problemami do rozwiązania. Z akcją wydawniczą trzeba było zaczekać na ukształtowanie się poglądów na reformę szkolną, jaką zainicjowało Ministerstwo Oświaty. Równocześnie P. Z. W. S. musiały przezwyciężyć trudności związane z brakiem papieru i niskim stanem drukarstwa w powojennej Polsce.

Działalność P. Z. W. S. już w ciągu jednego roku dała poważne wyniki. Na pierwszym planie postawiono zaopatrzenie w książkę szkolną szkół powszechnych, gdyż chodziło o umożliwienie nauczycielowi skutecznej pracy, by zapobiec dalszemu obniżaniu się oświaty i by nie dopuścić do pogłębienia analfabetyzmu, jaki powstał wskutek wojny. Oddano najpierw do użytku szkoły 600.000 Elementarzy Falskiego, następnie Ćwiczenia ortograficzne (Rytlowa: Nauka pisania dla klasy III, IV V); podręczniki do arytmetyki (dla klasy II, III), do przyrody (dla klasy VII), do geometrii (dla VI, VII). A wreszcie wydrukowano podręczniki do języka polskiego, a mianowicie: Baczyńska, Kowalczewska, Wojciechowska: Wśród dzieci, na klasę II; Rytlowa, Piorunowa, Lewandowski: Wspólnymi siłami, dla kl. III; Broniewska, W nowej szkole, dla kl. IV, Straszewski,Zbieszkowska - Ferencowa: O świcie, dla kl. V; Dancewiczowa: Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne, dla kl. V; Kasztelowicz, Madeja: Mówimy po polsku, podręcznik do nauki języka polskiego dla młodzieży na Ziemiach Odzyskanych; Nie rzucim ziemi, czytanki dla kursów dla dorosłych.

Książki do języka polskiego dla dalszych klas szkół powszechnych oraz z zakresu innych przedmiotów są w druku i ukażą się w najbliższym czasie. Po zaspokojeniu najważniejszych potrzeb w zakresie wydawnictw dla szkoły powszechnej P. Z. W. S. projektuje wydrukowanie szeregu książek dla szkół średnich — ogólnokształcących oraz zawodowych.

Pomyślano również o książce do bibliotek szkolnych. P. Z. W. S. zamierza wydawać szereg opowiadań dla dzieci, drukuje Biblioteką Popularno - Naukową (ukazały się 4 tomiki serii przyrodniczej), a przede wszystkim organizuje Bibliotekę Ziem Odzyskanych. Na ziemiach zachodnich najdotkliwiej daje się odczuwać głód książki. Wielostronne naświetlenia tego problemu na łamach prasy wykazało, że przyjście z polską książką na te ziemie jest najwyższą koniecznością narodową dzisiejszej chwili. Nakładem P. Z. W. S. ukażą się w najbliższym czasie rozprawki, szkice historyczne i literackie, opowiadania, reportaże o Pomorzu, Mazurach Pruskich i Śląsku, co przynajmniej w części zapełni pustki bibliotek na tych terenach oraz da możność głębszego zrozumienia znaczenia tych ziem dla Polski przez ogół społeczeństwa.

P. Z. W. S. posiada dziś już zorganizowaną sieć rozdzielczą w całej Polsce, gdyż zorganizowały w różnych miastach swoje oddziały. Oddział w Katowicach ma na celu dotrzeć z książką szkolną do wsi i miast Województwa Śląsko - Dąbrowskiego, ale także na Śląsk Dolny, dlatego założył Delegaturę we Wrocławiu i Jeleniej Górze. Oddział Katowicki rozprowadził do tego czasu około 400.000 książek szkolnych, wielką ilość druków dla szkół oraz wydał około 700.000 egzemplarzy pisemek dla młodzieży pt. „Poranek", „Świt", „Nauka i Czyn".

Z nowym rokiem szkolnym miliony młodzieży będzie miało na ławie szkolnej nowy podręcznik. Umożliwi to nauczycielstwu podjęcie rzetelnej pracy około upowszechnienia oświaty w Polsce.

St. K.

Patrzymy na ekran

Obchodzone ostatnio uroczystości majowe odsunęły w cień wiele problemów artystycznych, między innymi i problem nowości filmowych. Nie jest dziełem przypadku, że w dni te, jako w dni bezpłatnego udostępnienia seansu filmowego wszystkim — tłumy ludzi odwiedziły nasze kinoteatry. Dowodzi to dwóch rzeczy. Po pierwsze, popularności filmu, a po drugie jego niedostępności dla szerokich rzesz przy t. zw. normalnych cenach wstępu, nawet przy zniżkach dla pracujących. Nad tym problemem powinny się czynniki kompetentne poważnie zastanowić, na co zresztą wskazujemy nie pierwszy raz. Pamiętać bowiem należy o dezaktualizacji kina w miesiącach kanikuły. Pamiętać o tym należy choćby ze względów czysto komercjalnych, ale to już oczywiście nie do nas należy.

Jeżeli chodzi o linię repertuarową naszej kinofikacji, to zdajemy sobie w pełni sprawę z olbrzymich trudności w jej realizowaniu, trudności związanych z brakiem, względnie niskim poziomie artystycznym filmów produkcji rodzimej, dalej — zupełnej niemal przypadkowości w doborze filmów zagranicznych (co słychać z zakontraktowanymi filmami angielskimi?) ale na drobnym przykładzie zilustrujemy, że przy dobrej woli i w naszych warunkach można podkreślić odpowiednie momenty pozytywne a ominąć wydźwięki rażące. Otóż np. dyrekcja kina „Casino" wyświetlającego całkiem zresztą miły film: „Meksykańskie noce", uważała za stosowne — zupełne zresztą słusznie, zastąpić ten film w okresie majowych uroczystości, filmem polskiej produkcji, mającym duże niedociągnięcia artystyczne, ale podkreślającym bardzo pozytywnie walory młodzieńczego poczucia honoru, posłuszeństwa i poświęcenia. — Film ten: „Dzień wielkiej przygody" był w tych dniach bardzo a propos i spełnił w zupełności swoje zadanie wobec szczelnie natłoczonej widowni. Celowej inicjatywie należy się uznanie.

Z innych filmów wspomnieć należy o francuskim „Więzieniu bez krat" (kino „Zorza") z bardzo dobrą obsadą (Corinne Luchaire w głównej roli) oraz o „Zdobywcach Marokka" (kino „Światowid") z Harry Baur'em. Niestety, ten drugi film, kompozycyjnie znacznie słabszy, jest na dobitek tak zmasakrowany i poskracany, że wielki aktor plątа się zupełnie bezradnie po scenie i po prostu nie może nadążyć z graniem. Ledwie powie dwa słowa czy uczyni gest a już musi przeskakiwać do innej sceny, co przy jego tuszy i poważnych manierach wywiera wrażenie zupełnie oszałamiające. Poza tym winniśmy jednak jakieś poszanowanie innemu bohaterowi, już nie filmu, ale tym razem Francji, którego nazwisko ani razu nie pada w tym filmie. Francuzi umieją szanować swych wielkich ludzi.

A my...

P. S. — Uwaga dla niewtajemniczonych. — Film „Zdobywcy Marokka" poświęcony jest pamięci marszałka Lyautey'a. **Aleksander Baumgardten**

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik" — R 1757.